

**NANCY H. KLEINBAUM**

**STOWARZYSZENIE UMARŁYCH  
POETÓW**

DEAD POETS SOCIETY

Przełożył: Paweł Laskowicz

Data wydania polskiego: 1994

## ROZDZIAŁ I

W murowanej kaplicy Akademii Weltona - prywatnej szkoły położonej wśród dalekich wzgórz Vermontu - po obu stronach szerokiej nawy siedziało ponad trzystu chłopców ubranych w odświętne szkolne bluzy. Między nimi zasiedli ich pełni dumy rodzice. Wszyscy czekali w napięciu. Kiedy rozbrzmiały pierwsze takty płynącej z dudów muzyki, przygotowujący się w przedśionku do ceremonii stary, siwy mężczyzna wziął do ręki świecę i podpalił ostrożnie jej knot. Sinoniebieskie wnętrze rozjaśniło się bladym światłem. Zagubiony w fałdach obszernej togi staruszek ruszył wolnym krokiem ku głównej nawie, osłaniając drżącą dłonią przygasający w podmuchach przeciągu płomień. Za nim podążył czteroosobowy orszak chłopców, którzy na wysoko uniesionych drzewcach dźwigali szkolne sztandary. Na końcu, w czarnych togach kroczyli pedagodzy Akademii oraz nielicznie przybyli jej dawni absolwenci.

Dyrektor szkoły, Gale Nolan, krzepki mężczyzna nieco po sześćdziesiątce, stał przy mównicy, gdzie zwykle kapłan czyta swoje niedzielne kazania, i spokojnym wzrokiem śledził idących. Czekał cierpliwie, aż procesja dobiegnie końca.

Staruszek zatrzymał się przed prezbiterium i odwrócił ku zgromadzonym. Czterej chłopcy ze sztandarami minęli go, uroczyście wkroczyli na podium i stanęli sztywno przed przygotowanymi dla nich krzesłami. Po nich swoje miejsca w prezbiterium zajęli nauczyciele i absolwenci.

Staruszek, unosząc świecę, postąpił krok naprzód.

- Panie i panowie... chłopcy... - donośnym głosem odezwał się dyrektor, wskazując palcem płomień. - Oto światło wiedzy!

Kiedy obecni w kaplicy zaczęli bić brawo, dmący w dudy uczeń skończył grać i złożył swój instrument w bocznej niszy.

Czterej chłopcy opuścili drzewca na posadzkę i z ulgą usiedli na krzesłach. Na poręczach widniały wyszyte złotą nicią słowa: „TRADYCJA”, „HONOR”, „DYSCYPLINA”, „DOSKONAŁOŚĆ”.

Zapadła cisza.

Staruszek podszedł do pierwszego rzędu, w którym siedzieli najmłodsi uczniowie Akademii, trzymający w dłoniach nie zapalone świece. Nachylając się nad pierwszym z nich ostrożnie przysunął swój płomyk do knota świecy chłopca.

- Światło wiedzy - zaintonował ceremonialnie dyrektor Nolan - zostało przekazane

młodym przez starszeństwo!

Następnie chłopiec zapalił świecę swojemu sąsiadowi, ten przekazał płomień kolejnemu, i w ten sposób symboliczne światło trafiło do wszystkich uczniów rozpoczynających edukację w Akademii Weltona.

- Panie i panowie, czcigodni absolwenci, uczniowie... - mówił dalej Nolan. - W tym roku, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym, przypada setna rocznica powołania do życia naszej Akademii. Sto lat temu, w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym, czterdziestu jeden chłopców usiadło na tych samych krzesłach, na których teraz siedzicie wy, i postawiono im to samo pytanie, które zawsze pada tutaj wobec uczniów na początku każdego semestru.

Nolan zamilkł na moment. Ogarnął wzrokiem wnętrze kaplicy.

- Proszę panów! - wykrzyknął. - Jak brzmią nasze Cztery Zasady?

Podniosły nastrój zakłóciło gwałtowne szuranie nóg. Szesnastoletni Todd Anderson, jeden z nielicznych, którzy zamiast odświętnej bluzy mieli na sobie zwykłe wełniane swetry, ociągał się długo, gdy jego koledzy stawali w równym rzędzie. Matka niecierpliwie szturchnęła go łokciem w ramię. Zrobił nieszczęśliwą minę, podniósł się bez słowa i wodząc dookoła zagniewanym wzrokiem, słuchał, jak inni skandują głośno: „Tradycja! Honor! Dyscyplina! Doskonałość!”

Nolan skinął przyzwalająco głową i chłopcy usiedli. Kiedy umilkł hałas dosuwanych krzesel, w kaplicy zapanowała niczym nie zmacona, uroczysta cisza.

- W pierwszym roku istnienia Akademii Weltona - dyrektor nachylił się do mikrofonu - ukończyło ją pięciu uczniów. - Zrobił krótką pauzę. - W roku minionym absolutorium otrzymało pięćdziesięciu jeden i aż siedemdziesiąt pięć procent z nich zdobyło indeksy najszacowniejszych uniwersytetów, należących do honorowej Ligi Ivy!\*

Rodzice siedzący z dumą przy swoich pociechach burzą oklasków wyrazili Nolanowi uznanie dla tak wyśmienitych wyników edukacji. Dwóch z czterech chorążych, szesnastoletni Knox Overstreet i jego przyjaciel Charlie Dalton, przyłączyło się do powszechnego aplauzu. Ubrani w odświętne szkolne bluzy, wyprostowani jak struny, uosabiali ideę uniwersyteckiej Ligi Ivy. Knox był dobrze zbudowanym młodzieńcem o kręconych, krótko przyciętych włosach i szczerym, szerokim uśmiechu. Wysoki i przystojny Charlie miał klasyczną, elegancką powierzchowność gimnazjalisty z elitarnej szkoły średniej.

- Te osiągnięcia - mówił dalej Nolan, a Knox i Charlie spoglądali z góry na swoich

---

\* Honorowa Liga, skupiająca najlepsze i najdroższe uniwersytety w Stanach Zjednoczonych

kolegów - są rezultatem pełnej poświęcenia pracy w imię pryncypiów, jakie wpaja Akademia. Dlatego właśnie tutaj rodzice chcą posyłać swoich synów, i dlatego właśnie nasza szkoła jest najlepszą szkołą średnią w Stanach Zjednoczonych, - Nolan zamilkł, czekając, aż ucichną kolejne brawa.

- Wy, nowi uczniowie - kontynuował, zwracając się do tych, którzy rozpoczęli edukację w Akademii - musicie wiedzieć, że klucz do wiedzy i waszego sukcesu leży w Czterech Zasadach Akademii. Mówię to zarówno do najmłodszych, siódmoklasistów, jak i do tych, którzy przenieśli się do nas z innych szkół.

Na dźwięk słów o uczniach, którzy przenieśli się z innych szkół, Todd Anderson drgnął i poczuł się nieswojo. Słowa te były skierowane do niego.

- Cztery Zasady to filary tej szkoły. To także kamienie węgielne położone pod wasze życie. - Nastąpiła krótka pauza. - Kandydat Akademii Weltona! - wezwał Nolan - Richard Cameron!

Jeden z chłopców trzymających sztandary zerwał się na równe nogi.

- Tak, proszę pana! - krzyknął.

Siedzący za nim ojciec promieniał dumą.

- Cameron, czym jest tradycja?

- Tradycja, panie Nolan, to umiłowanie szkoły, ojczyzny i rodziny. Tradycją w Akademii Weltona jest być najlepszym.

- Bardzo dobrze, Cameron - pochwalił dyrektor. - Kandydat Akademii Weltona, George Hopkins, czym jest honor?

Cameron usiadł sztywno przy uśmiechającym się z zadowoleniem ojcu.

- Honor to godność i wypełnianie powinności - padła odpowiedź George'a Hopkinsa.

- Bardzo dobrze, Hopkins. Kandydat Akademii Weltona, Knox Overstreet!

- Tak, proszę pana - Knox wstał.

- Czym jest dyscyplina? - zapytał Nolan.

- Dyscyplina to szacunek dla rodziców, nauczycieli i dyrektora szkoły. Dyscyplina to nasz obowiązek.

- Dziękuję, panie Overstreet. Kandydat Akademii Weltona, Neil Perry!

Knox usiadł, a siedząca za nim matka poklepała go wzruszona po ramieniu.

Teraz wstał Neil Perry. Kieszeń na piersi jego szkolnej bluzy zdobiły kolorowe odznaki za osiągnięcia w nauce. Stał wyprostowany, wpatrując się obojętnym wzrokiem w dyrektora.

- Doskonałość, panie Perry?

- Doskonałość to rezultat ciężkiej pracy - wyrecytował monotonnym głosem. - Doskonałość to klucz do sukcesu, w szkole i wszędzie poza szkołą. - Kiedy skończył, usiadł i wpatrzył się beznamiętnie w przestrzeń.

- Szanowni panowie - zaczął znowu Nolan - w Akademii Weltona pracować będziecie dużo ciężiej, aniżeli gdziekolwiek wcześniej pracowaliście w swoim życiu. Nagrodą za ten wysiłek będzie życiowy sukces, którego wszyscy bardzo od was oczekujemy.

W związku z przejściem na emeryturę naszego ukochanego profesora języka angielskiego, pana Portiusa, pozwolą państwo, że przedstawię jego następcę, pana Johna Keatinga, który sam jest absolwentem naszej szkoły, a który przez ostatnich kilka lat uczył w zacnych murach londyńskiego gimnazjum Chestera.

Pan Keating, który siedział w grupie pedagogów, uniósł się lekko i skinął głową. Średniego wzrostu i niewielkiej postury, Keating był przeciętnie wyglądającym mężczyzną po trzydziestce. Miał inteligentne, brązowe oczy, średniej długości ciemne włosy i nie schodzący z twarzy ciepły uśmiech. Robił wrażenie osoby godnej szacunku i znakomicie wykształconej, jednak ojciec Neila Perryego zmierzył go wzrokiem pełnym nieufności.

- Na zakończenie naszej inauguracyjnej ceremonii - powiedział Nolan - chciałbym poprosić o kilka słów najstarszego z żyjących absolwentów naszej Akademii, pana Aleksandra Carmichela Juniora, z rocznika szkolnego tysiąc osiemset osiemdziesiąt sześć.

Zgromadzeni w kaplicy głośną owacją i powstaniem z miejsc powitali osiemdziesięcioletniego człowieka, który wyniosłe odtrącając wyciągnięte ku niemu pomocne dłonie, podreptał wolno w kierunku mównicy. Staruszek wymamrotał do mikrofonu kilka niezrozumiałych dla nikogo słów, uśmiechnął się serdecznie, pomachał ręką, i uroczystość dobiegła wreszcie końca. Uczniowie i rodzice zaczęli wychodzić z kaplicy na przejmujący chłodem dziedziniec szkolnego campusu.

Od rzeczywistości świata zewnętrznego Akademię Weltona odgradzały stare, zmurzone budynki i pielęgnowana w nich pieczołowicie surowa tradycja. Dyrektor Gale Nolan, niczym proboszcz stojący po niedzielnej mszy na schodach swego kościoła, przyglądał się z wysoka żegnającym się rodzinom.

Matka Charliego Daltona odgarnęła synowi włosy z czoła i tkliwie go pocałowała. Ojciec Knoxa Overstreeta objął syna po męsku, kiedy spacerowali po dziedzińcu, oglądając marmurowe tablice, upamiętniające fundatorów szkoły. Ojciec Neila Perryego stał wyprostowany przed synem i poprawiał wpięte w kieszeń jego bluzy odznaki. Trzymający się na uboczu Todd Anderson czubkiem buta wygarniał z ziemi kamyk. Jego rodzice stali kilka metrów dalej i nie zwracając na niego uwagi, rozmawiali z rodzicami jakiegoś innego ucznia.

Wpatrującego się ponuro w ziemię Todda zaskoczył nagle Gale Nolan. Podszedł do niego, chcąc odczytać imię i nazwisko na przypiętej do swetra etykietce.

- Aaa, pan Anderson - zaczął. - Czeka cię poważne zadanie. Twój brat był jednym z prymusów naszej Akademii. Z pewnością mu dorównasz.

- Dziękuję, proszę pana - odpowiedział Todd słabym głosem.

Niczym dobry gospodarz, Nolan ruszył dalej, mijając po drodze rodziców, pozdrawiających ich i uśmiechając się nieustannie. Zatrzymał się dopiero przy panu Perrym i jego synu. Położył rękę na ramieniu Neila.

- Wiele sobie po tobie w tym roku obiecujemy, Perry - powiedział poważnie.

- Dziękuję, panie Nolan.

- Na pewno nie zawiedzie - rzucił ojciec Neila. - Prawda, synu?

- Będę się bardzo starał.

Nolan poklepał Neila po ramieniu i ruszył dalej. Zauważył, że wielu najmłodszych uczniów z trudem powstrzymuje łzy, a niektórzy płaczą tuląc się do matek.

- Na pewno ci się spodoba - przekonywał głośno jeden z ojców, machając na pożegnanie ręką i odchodząc spieszenie w kierunku parkingu.

- Nie bądź dzieckiem - łajał inny zapłakanego syna.

Z wolna dziedziniec pustoszał, jeden po drugim samochody opuszczały szkolny parking. Akademia Weltona stała się teraz dla chłopców nowym domem, odizolowanym w pięknych, ale surowych lasach Vermontu.

- Chcę do domu! - krzyknął jeszcze jakiś chłopiec chlapiącym głosem. Ktoś ze starszych klas poklepał go pocieszająco po ramieniu i poprowadził w kierunku bursy.

## ROZDZIAŁ II

- Wolniej, proszę panów, wolniej. Nie biegiem! - nawoływał nauczyciel z wyraźnym szkockim akcentem.

Czterdziestu uczniów młodszej klasy zbiegało ze schodów w bursie, podczas gdy piętnastka starszych usiłowała utorować sobie między nimi drogę na piętro.

- Tak, tak, panie McAllister - powiedział któryś z pierwszorzoczników. - Przepraszam, proszę pana.

McAllister z dezaprobatą kiwał głową, patrząc, jak chłopcy wybiegają z budynku i pędzą przez campus.

W wyłożonej dębową boazerią Sali Reprezentacyjnej siedmiu uczniów czekało na wezwanie dyrektora Nolana. Co pewien czas kilka par oczu niespokojnie kierowało się ku schodom po przeciwnej stronie, które prowadziły do wychodzących na pierwsze piętro drzwi. Niebawem pojawiło się w nich pięciu chłopców. Ciężkim krokiem zaczęli schodzić na dół. Za nimi, na szczycie schodów stanął stary, siwiejący dr Hager.

- Overstreet, Perry, Dalton, Anderson, Cameron! - krzyknął.

Kiedy szli gęsiego na górę, pozostała na dole dwójka śledziła z przejęciem ich odejście.

- Hej, Meeks, jak nazywa się ten nowy? - zapytał jeden z nich.

- Todd Anderson - odparł szeptem Steven Meeks.

Ta wymiana zdań nie uszła uwadze starego Hagera.

- Panowie Meeks i Pitts! Nagana! - krzyknął z groźbą w głosie.

Chłopcy spojrzeli w inną stronę. Rozżalony Pitts uniósł oczy ku niebu.

- Pitts! Dla ciebie dodatkowa nagana! - Dr Hager był już wprawdzie stary, ale wzrok miał sokoli.

Wezwani chłopcy podążyli za Hagerem, który żwawym krokiem zmierzał prosto do gabinetu Gale'a Nolana. Po drodze musieli przejść przez sekretariat szkoły, który prowadziła żona dyrektora, pani Joan Nolan.

Chwilę później stali przed rzędem ustawionych naprzeciwko dyrektora krzeseł. Nolan siedział przy swoim biurku. Obok niego, na podłodze wylegiwał się wielki dog.

- Witam panów w nowym roku szkolnym. Panie Dalton, jak się miewa ojciec?

- Dobrze, proszę pana - odparł Charlie.

- Doskonale, proszę przekazać mu moje pozdrowienia. Czy pańska rodzina prze-

prowadziła się już do tego nowego domu, Overstreet?

- Tak, proszę pana. Jakiś miesiąc temu.

- Wyśmienicie - Nolan uśmiechnął się zagadkowo. - Słyszałem, że to piękny dom.

Poklepał psa po głowie i podał mu krakersa. Dog schrupał ciastko z apetytem. Chłopcy czekali, niepewni i zakłopotani.

- Ale do rzeczy - podjął Nolan. - Anderson, jesteś tu nowy, niech więc będzie mi wolno wyjaśnić ci, że w Akademii Weltona każdemu z uczniów wyznaczam zajęcia pozalekcyjne, biorąc przy tym pod uwagę talent, kwalifikacje oraz dotychczasowe zainteresowania. Zajęcia te są traktowane w równie poważny sposób, co zwykły rozkład lekcji, prawda, chłopcy?

- Tak, proszę pana! - odrzyknęli pozostali zgodnym chórem.

- Za nieobecność na tych zajęciach udzielane są nagany. A więc tak... Najpierw Dalton: gazetka szkolna, przysposobienie wojskowe, piłka nożna, wiosłowanie. Knox Overstreet: Stowarzyszenie Kandydatów Akademii Weltona, gazetka szkolna, piłka nożna, Klub Synów Absolwentów. Neil Perry: Stowarzyszenie Kandydatów Akademii Weltona, kółko chemiczne, kółko matematyczne, Księga Pamiątkowa Akademii, piłka nożna. Richard Cameron: Stowarzyszenie Kandydatów Akademii Weltona, Klub Dyskusyjny, wiosłowanie, przysposobienie wojskowe, kółko medyczne, Rada Honorowa.

- Dziękuję, proszę pana - powiedział Cameron.

- Jeśli zaś chodzi o ciebie, Anderson... opierając się na danych przekazanych mi ze szkoły w Balincrest: piłka nożna, przysposobienie wojskowe, Księga Pamiątkowa Akademii. Czy może coś pominąłem?

Todd stał w milczeniu. Usiłował wydusić z siebie kilka słów.

- Słucham, panie Anderson, słucham - pomagał mu Nolan.

- Ja... wolałbym... wiosłowanie... proszę pana - Todd wykrztusił wreszcie ledwie słyszalnym głosem.

Nolan spojrział na niego. Todd zaczął się trząść ze zdenerwowania.

- Wiosłowanie, powiadasz...? Wiosłowanie? Ale zgodnie z tym, co tu mam napisane... w Balincrest grałeś w piłkę nożną. No, więc?

Todd znowu zmusił się do wysiłku.

- Grałem... tak... ale... - szeptał.

Nad jego brwiami pojawiły się błyszczące kropelki potu. Zacisnął pięści, tak mocno, że zbieleły mu palce. Pozostali chłopcy widzieli, jak walczy z napływającymi łzami.

- Polubisz piłkę nożną, Anderson - Nolan przerwał narastające napięcie. - To



wszystko. Możecie odejść.

Chłopcy wymaszerowali równym krokiem. Na twarzy Todda malowała się rozpacz. Dr Hager wezwał następnych.

W drodze do bursy Neil Perry zaczekał na wlokącego się za wszystkimi Todda i podał mu dłoń.

- Będziemy mieszkać w jednym pokoju - powiedział. - Nazywam się Neil Perry.

- Todd Anderson - odparł cicho Todd.

Przez jakiś czas szli w niezręcznym milczeniu.

- Dlaczego przeniosłeś się z Balincrest?

- Mój brat kończył Akademię Weltona - wyjaśnił Todd.

Neil spojrział na niego z zaciekawionym.

- Ach, to ty jesteś TEN Anderson? Todd wzruszył ramionami.

- Rodzice od początku chcieli, żebym się tu uczył, ale nie miałem wystarczająco dobrych ocen. Musiałem zacząć w Balincrest, żeby się trochę podciągnąć.

- Cha, cha, trafiłeś z deszczu pod rynnę - zaśmiał się Neil. - Nie sądzę, żeby ci się tutaj spodobało.

- Już mi się nie podoba.

W holu bursy panował nieopisany rozgardiasz. Chłopcy biegali w tumanach unoszącego się kurzu, dźwigając swoje walizki, torby podróżne, maszyny do pisania, książki, poduszki, gramofony... Przy wejściu stał portier i pilnował sterty bagażu. Neil i Todd zaczęli szukać swoich rzeczy. Pierwszy swoją pękatą torbę i skórzaną walizkę znalazł Neil. Zarzucił sobie torbę na plecy, chwycił mocno walizkę i ruszył do pokoju.

- Nie ma jak w domu - zachichotał pod nosem, gdy wszedł do ciasnego pomieszczenia, w którym z trudem mieściły się dwa łóżka, dwie szafy i dwa biurka.

Rzucił bagaże na jedno z łóżek. Przez uchylone drzwi do pokoju zajrzał Richard Cameron.

- Podobno masz tego nowego - powiedział. - Słyszałem, że to drętwa natura. Ooops, pardon! - dodał, widząc za sobą Todda, i wycofał się szybko za drzwi.

Todd minął go w progu, położył swoje rzeczy na drugim łóżku i zaczął się rozpakowywać.

- Nie przejmuj się Cameronem - powiedział Neil.

- To kawał dupka.

Todd wzruszył ramionami, skupiając uwagę na walizkach.

W pokoju pojawili się Knox Overstreet, Charlie Dalton i Steven Meeks.

- Słuchaj, Perry. Wieść gminna niesie, że latem brałeś dodatkowe lekcje.

- To prawda, z chemii. Ojciec uznał, że powinienem opanować trochę materiału na-  
przód.

- Hmm - zastanawiał się Charlie - Meeks jest orłem w łacinie. Ja tak jakby nie  
zapomniałem wszystkiego z gramatyki, więc mamy już dobrą grupę naukową, co ty na to?

- Jasne, tyle tylko, że wcześniej proponował mi to samo Cameron. Nie macie chyba  
nic przeciwko temu, by go przyjąć?

- A on w czym się specjalizuje? - zaśmiał się Charlie. - W lizusostwie?

- Daj spokój - rzucił Neil. - To przecież twój kumpel z pokoju.

- Nic na to nie poradzę - Charlie potrząsnął głową.

Podczas tej wymiany zdań Todd nie przestawał wyjmować i układać na łóżku swoich  
rzeczy.

Podszedł do niego Steven Meeks.

- Cześć. Chyba się nie znamy, prawda? - zagadnął.

- Nazywam się Steven Meeks.

Todd nieśmiało wyciągnął dłoń.

- Todd Anderson.

Teraz również Knox i Charlie wyciągnęły ręce.

- Charlie Dalton.

- Knox Overstreet.

Todd uścisnął im dłonie.

- Chłopaki, trzeba wam wiedzieć, że bratem Todda jest nie kto inny jak Jeffrey  
Anderson - powiedział Neil.

Charlie ściągnął brwi, jakby coś sobie przypominając.

- A tak, oczywiście. Ten sam, który wiosną wygłaszał w imieniu wszystkich uczniów  
pożegnalne przemówienie na promocji. Wyróżnienia, nagrody, państwowe stypendium...

Todd przytaknął.

- Zatem witamy w Akademii Helltona\* - Meeks wybuchnął śmiechem.

- Tak, tu naprawdę jest tak ciężko, jak głosi fama. No, chyba że jest się takim geniu-  
szem jak Meeks - rzucił zaczepnie Charlie.

- Chce mi się przypodobać, żebym go podciągnął z łaciny - odciął się Meeks.

- I literatury, i trygonometrii... - dodał Charlie. Meeks roześmiał się. Nagle rozległo się

---

\* hell (ang.) - piekło

stukanie do drzwi.

- Otwarte! - krzyknął Neil.

Tym razem nie był to żaden z ich kolegów.

- Oo... ojciec - wyjąkał Neil i zbladł jak kreda.

### ROZDZIAŁ III

Chłopcy zerwali się na równe nogi.

- Dzień dobry, panie Perry - powiedzieli jednocześnie Meeks, Charlie i Knox.

- Usiądźcie, chłopcy - powiedział ojciec Neila, wchodząc rześkim krokiem do środka.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękujemy - usłyszał w odpowiedzi.

Pan Perry stanął przed Neilem, który, zaskoczony wizytą, przestępował z nogi na nogę.

- Neil, uznałem, że wzięłeś na siebie zbyt dużo zajęć pozalekcyjnych. Rozmawiałem o tym z dyrektorem Nolanem. Na szczęście wyraził zgodę, byś Księgę Pamiątkową Akademii objął nie w tym, lecz w przyszłym roku - powiedział i odwrócił się w kierunku wyjścia.

- Ale... tato! - krzyknął Neil. - W tym roku jestem zastępcą redaktora naczelnego.

- Przykro mi, Neil - powiedział sucho pan Perry, zatrzymując się przy drzwiach.

- Ależ ojcze, to nieuczciwe. Ja...

Pan Perry spojrzał na niego lodowato. Neil urwał w połowie słowa. Ojciec otworzył drzwi i dał mu znak, by również wyszedł.

- Panowie wybaczą - powiedział uprzejmie do chłopców.

Przepuścił syna przodem i cicho zamknął za sobą drzwi.

Jego oczy płonęły.

- Proszę, nie kłóć się ze mną w obecności innych, rozumiesz? - zasyczał.

- Ojcze... ja się nie kłóciłem. Ja... - zaczął Neil słabym głosem.

- Kiedy skończysz Szkołę Medyczną i staniesz się dorosły, będziesz mógł robić to, co zechcesz. Do tego czasu jednak masz słuchać MNIE!

Neil spuścił głowę.

- Przepraszam.

- Wiesz przecież, jak wiele to znaczy dla matki, prawda?

- Wiem, ojcze. - Neil stał przed ojcem ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Jego postanowienia zawsze załamywały się pod groźbą kary lub z poczucia winy.

- Tak, oczywiście. Znasz mnie - powiedział wreszcie, przerywając ciszę. - Czasami biorę na siebie zbyt dużo obciążeń.

- Dobry z ciebie chłopak. Daj znać, jeśli czegoś ci będzie trzeba. - Pan Perry odwrócił się i odszedł bez słowa.

Neil odprowadził ojca spojrzeniem. Czuł narastającą w nim złość. Właściwie, dlaczego pozwala się tak traktować?

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Chłopcy udawali, że nic się nie stało, ale każdy czekał, aż ktoś inny zacznie rozmowę. W końcu Charlie przerwał milczenie.

- Dlaczego on nie pozwala ci robić tego, na co naprawdę masz ochotę?

- I dlaczego po prostu nie powiesz mu, żeby poszedł do diabła? I tak już gorzej być nie może.

Neil otarł oczy.

- Wielce mi mądre rady - burknął. - Chciałbym widzieć WAS, jak mówicie swoim rodzicom, żeby poszli do diabła, panie Przyszły Bankierze, panie Przyszły Adwokacie.

Chłopcy spuścili oczy. Neil miotał się wściekle po pokoju. Wyrwał z bluzy odznakę za osiągnięcia edytorskie w Księdze Pamiątkowej Akademii i rzucił ją ze złością na biurko.

- Jedną chwilę - zaprotestował Knox. - Ja tam nie pozwalałam, by rodzice tak mnie traktowali.

- Czyżby? - parsknął Neil. - Robisz dokładnie to, co ci każą! Może nie tyrasz u tatuśka w jego biurze adwokackim? To pewne jak to, że tu stoję. - Odwrócił się do leżącego na łóżku Charliego. - A ty do zasranej śmierci będziesz wypisywał bankowe kredyty. Dokładnie tak, jak robi to dzisiaj twój ojciec!

- Dobrze, dobrze - łagodził Charlie. - Powiedzmy, że masz rację. Chodziło mi tylko o to...

- To nie ucz mnie, jak mam rozmawiać z własnym ojcem, skoro sam nie jesteś wcale lepszy - uciął Neil. - Jasne?!

- W porządku - westchnął Knox. - O rany, co masz zamiar teraz zrobić?

- To, co muszę. Rzucę Księgę. Nie mam wyboru.

- Ja bym się tym aż tak nie martwił - pocieszał Meeks. - Księgę robi banda palantów, którzy chcą się przypodobać Nolanowi.

Neil zatrzasnął z hukiem wieko walizki i rzucił się na łóżko.

- Zresztą, co mnie to obchodzi. - Uderzył pięścią w poduszkę, przewrócił się na plecy i wbił wzrok w sufit.

Zrobiło się smutno. Chłopcy siedzieli na łóżkach z pochmurnymi minami.

- Nie wiem jak wy - powiedział Charlie - ale ja pouczyłbym się jutro łaciny.

Ósma rano, u mnie w pokoju. Odpowiada?

- Pewnie - odpowiedział bezbarwnie Neil.

- Todd, będziesz mile widziany - Charlie spojrzał na Andersona.

- Tak - dołączył się Knox. - Przyjdź koniecznie.

- Dzięki - odparł Todd.

Kiedy wszyscy wyszli, Neil wstał i odszukał odznakę, którą przed chwilą rzucił na biurko. Todd powrócił do rozpakowywania walizki. Wyciągnął z niej niedużą, oprawioną w białą ramkę fotografię, na której matka i ojciec czule obejmowali starszego chłopca, jak można się było domyślać, osławionego brata Todda - Jeffreya. Neil z ciekawością przyjrzał się fotografii. Pomyślał, że Todd nie pasuje do tego rodzinnego stadka, że co prawda jest wśród nich, ale jakby nie stanowi ich części. Todd przykrył fotografię, kładąc na niej skórzany zestaw przyborów na biurko, z wytłoczonym własnym imieniem i nazwiskiem.

Neil usiadł ciężko na łóżku i oparł głowę o drewnianą poręcz.

- Powiedz, co sądzisz o moim ojcu? - spytał pustym głosem.

- Lepszy od mojego - Todd odpowiedział cicho, jakby do siebie.

- Co?

- Nic.

- Todd, jeśli zamierzasz dożyć końca tej szkoły, musisz zacząć mówić głośno. Tutaj ludzie niepewni siebie mogą wprawdzie odziedziczyć wielki spadek, ale nie mają szans, by dostać się do Harvardu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Todd przytaknął, składając w kostkę białą, zapiętą na wszystkie guziki koszulę z oksfordzkiego płótna. Neil trzymał ciągle w ręku odznakę.

- Cholera! - krzyknął nagle i z całej siły wbił sobie igłę w kciuk.

Z palca poleciała krew. Todd wzdrygnął się, a Neil patrzył z zainteresowaniem na czerwoną strużkę. Po chwili wyciągnął igłę z palca i z pasją cisnął odznakę o ścianę.

## ROZDZIAŁ IV

Świt pierwszego dnia szkoły wstał jasny i promienny. Chłopcy z najmłodszych klas wpadali pędem do łazienki, myli się w pośpiechu i mknęli z powrotem do pokojów, by zdążyć się ubrać i spakować przed lekcjami.

- Te siódmaki są tak nerwowe, że z wrażenia narobią zaraz w gacie - stwierdził Neil, ochlapując sobie twarz zimną wodą.

- Ja czuję się podobnie - wyznał Todd.

- Nie przejmuj się. Pierwszy dzień zawsze jest trudny - pocieszał Neil. - Jakoś sobie poradzimy. Zawsze jakoś sobie radzimy.

Skończyli poranną toaletę, ubrali się i pobiegli do budynku szkolnego na pierwszą lekcję chemii.

- Nie powinienem był spać tak długo - rzucił Neil. - Ominęło mnie śniadanie i burczy mi teraz w brzuchu.

- Mnie też burczy, ale z innych powodów - powiedział Todd, gdy wchodzili do laboratorium.

Knox, Charlie, Cameron, Meeks i inni uczniowie siedzieli już na swoich miejscach. Łysiejący nauczyciel w okrągłych okularach rozdawał przy katedrze opasłe zbiory zadań i ćwiczeń laboratoryjnych.

- Poza zadaniami z podręcznika - mówił surowym głosem - każdy z was będzie musiał wykonać dowolne trzy eksperymenty laboratoryjne i co pięć tygodni będzie zdawał mi sprawozdanie z jednego z nich. Na jutro proszę się przygotować do pierwszych dwudziestu zagadnień z pierwszego rozdziału.

Charlie Dalton spoglądając to na tekst w podręczniku, to na nauczyciela, w rozpaczę wzniosł oczy ku niebu. Z niedowierzaniem spojrzął na Knoxa Overstreeta. Obaj z dezaprobatą pokręcili głowami. Todd był chyba jedyny w klasie, który zdawał się nie być przejęty ani poleceniami w podręczniku, ani tym, co mówił nauczyciel.

Pedagog grzmiał dalej, ale po słowach „do pierwszych dwudziestu zagadnień” chłopcy przestali zwracać na niego uwagę. W końcu zadzwieczał dzwonek i przeszli do klasy pana McAllistera.

McAllister, prawdopodobnie jedyny w historii współczesnego szkolnictwa łacinnik ze szkockim akcentem, nie marnując czasu, przeszedł od razu do rzeczy. Wręczył każdemu podręcznik i zakomenderował:

- Zaczniemy od deklinacji rzeczowników. Uwaga, słuchać! Agricola, agricolae, agricolae, agricolam, agricola... - Spacerował po klasie, recytując odmiany rzeczowników, podczas gdy chłopcy rozpaczliwie usiłowali zapamiętywać deklinacyjne końcówki.

Po czterdziestu minutach zatrzymał się i spojrzał na uczniów.

- Jutro pytam z deklinacji tych rzeczowników, moi drodzy. To zadanie w sam raz dla was. - Odwrócił się do tablicy, a za jego plecami rozległ się ponury, męczeński jęk.

Przed dalszym ciągiem wywodów McAllistera wybawił chłopców dzwonek kończący lekcję.

- Ten facet ma bzika! *Nigdy* się tego nie nauczę w ciągu jednego popołudnia - jęknął Charlie.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Meeks - Pokażę wam bardzo dobry system wkuwania. Przysiadzimy nad tym dziś wieczorem. Chodźmy, bo spóźnimy się na matkę.

Ściany klasy dr Hagera obwieszane były matematycznymi tablicami i wykresami. Na półkach leżały plastikowe modele brył geometrycznych. Na ławkach czekały już podręczniki.

- Nauka trygonometrii wymaga wielkiej systematyczności - perorował dr Hager. - Każdy, kto nie odrobi zadania domowego, otrzyma jeden punkt karny, który będzie odejmowany od oceny na koniec semestru. Uprzedzam was o tym, żeby nikt nie miał do mnie później pretensji. Kto zechce podać mi definicję cosinusa?

Do odpowiedzi poderwał się Richard Cameron.

- Cosinus jest odwrotnością sinusa kąta alfa. Jeśli kąt alfa zdefiniujemy jako...

Przez całą lekcję dr Hager bombardował klasę pytaniami z trygonometrii. Ręce podnosiły się w górę i opadały, uczniowie niczym roboty wstawali i siadali, recytowali odpowiedzi lub dukali nieporadnie, wysłuchując ostrych reprimend za popełniane błędy.

Kiedy wreszcie odezwał się dzwonek, wszyscy mieli wrażenie, że dzwoni o całe czterdzieści pięć minut za późno.

- Dzięki Bogu - wymamrotał Todd, składając zeszyty i książki. - Zdawało mi się, że nie wytrzymam już ani minuty dłużej.

- Do Hagera można się przyzwyczać - pocieszał go Meeks. - Kiedy złapiesz tempo, to pójdzie ci jak po maśle.

- Na razie wydaje mi się, że jestem sześć okrążeń do tyłu - burknął Todd, zbierając się do wyjścia.

Czekała ich następna lekcja. Bez słowa weszli do klasy języka angielskiego, rzucili książki na ławki i usiedli ciężko na krzesłach. Nawet nie zauważyli, że nie są już sami.

Wpatrując się w okno, przy katedrze siedział nieruchomo nowy nauczyciel języka



angielskiego. Chłopcy czekali w milczeniu, wdzięczni za chwilę spokoju, która nastąpiła nieoczekiwanie, po kilku godzinach stresów. Keating ciągle spoglądał w okno. Poczawszy się w końcu niezręcznie, chłopcy zaczęli się wiercić.

Wreszcie Keating wstał. Wziął do ręki patyczek, który nie wiadomo skąd wziął się w sali, i zaczął przechadzać się między rzędami. Zatrzymał się przed jednym z uczniów i popatrzył mu w oczy.

- Nie obawiaj się - powiedział łagodnie do chłopca, który natychmiast oblał się rumieńcem.

Ruszył dalej, po kolei patrząc każdemu w twarz.

- Hmm, hmmm - powiedział głośno, stając przed Toddem Andersonem.

- Hmm, hmmm - powtórzył to samo przed Neilem Perrym.

- Ha! - uderzył patyczkiem w otwartą dłoń i dużymi krokami wrócił na środek klasy.

- Uwaga, wytęście swoje młode umysły! - krzyknął, wodząc po klasie oczami i wymachując patyczkiem.

Nagle wskoczył na swoje biurko i stanął przodem do uczniów.

- „O, kapitanie mój, kapitanie!” - wyrecytował żarliwie i umilkł, patrząc uważnie na chłopców.

- Kto wie, skąd pochodzi ten cytat? Proszę? Nikt? - wpatrywał się w nich przenikliwie. Żadna ręka nie podniosła się w górę.

- W taki oto sposób, moi kochani żacy, - wyjaśnił łagodnie - napisał o Abrahamie Lincolnie pewien poeta, który nazywał się Walt Whitman. Na naszych lekcjach możecie zwracać się do mnie: „panie Keating” albo po prostu: „O, kapitanie mój, kapitanie!”

Zeskoczył z biurka i znowu zaczął przechadzać się między rzędami.

- Jako że zapewne dotarły do was plotki na temat mojej skromnej osoby, pozwólcie wyjaśnić, iż owszem, jestem wychowankiem tej zacnej instytucji oraz że wcale nie posiadam w związku z tym osobowości charyzmatyka. Niemniej jednak... gdybyście zamierzali mnie naśladować, to nie wątpię, że będzie to miało jak najbardziej pozytywny wpływ na wasze stopnie. A teraz, panowie, zbierajcie swoje książki i pójdźcie za mną. Do Sali Reprezentacyjnej!

Wyciągnął przed siebie rękę i trzymając patyczek jak drogowskaz, pomaszerował ku drzwiom. Po chwili zniknął w korytarzu. Chłopcy siedzieli w ławkach, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziemy - powiedział po namyśle Neil.

Wzięli książki i notatniki i wyszli na korytarz. Nie widząc nigdzie nauczyciela, poszli

w kierunku Sali Reprezentacyjnej.

Kiedy weszli do środka, Keating spacerował dookoła sali. Z uwagą oglądał porozwieszane na ścianach fotografie, z których najstarsze pochodziły jeszcze z poprzedniego wieku. Na półkach i w szklanych gablotkach wystawione były okazałe puchary i różnego rodzaju szkolne nagrody.

Słyszając, że chłopcy już usiedli na krzesłach, Keating odwrócił się do nich twarzą.

- Pan... - Keating spojrzał w listę uczniów - Pitts\* - powiedział. - Raczej niefortunne nazwisko. Proszę wstać, panie Pitts.

Pitts wstał.

- Drogi Pitts, otwórz podręcznik na stronie pięćset czterdziestej drugiej i przeczytaj nam pierwszą strofę wiersza, który tam znajdziesz.

Pitts przewertował podręcznik.

- Chodzi o wiersz „Dziewicom, by próżno nie czekały”?

- Właśnie o ten - przytaknął Keating. Po sali przeleciał szmer tłumionego chichotu.

- Uwaga, czytam - Pitts chrząknął z powagą.

*Rwijcie pąki swoich róż, póki jeszcze możecie*

*Bo czas uleci, choć stary swym wiekiem.*

*Kwiat co dziś uśmiechem się ukloni*

*Umrze jutro w waszej dłoni.*

Pitts przerwał.

- Rwijcie pąki swoich róż... - powtórzył Keating.

- Po łacinie myśl tę można wyrazić zwrotem „carpe diem”. Czy ktoś wie, co ten zwrot znaczy?

- Carpe diem - wyrwał się natychmiast Meeks, mistrz w łacinie - znaczy tyle, co „chwytaj dzień”.

- Doskonale, panie...?

- Meeks.

- Doskonale, panie Meeks. Zatem „chwytaj dzień” - powtórzył Keating. - Jak myślicie, dlaczego poeta napisał te słowa?

- Pewnie mu było spieszo - rzucił ktoś z tyłu.

---

\* pity (ang.) - litość, politowanie, współczucie

Chłopcy parsknęli śmiechem.

- Nie, nie, nie! - powiedział w uniesieniu Keating. - Napisał tak, ponieważ jesteśmy tylko pokarmem dla robactwa. Ponieważ jest nam dane ujrzeć tylko kilka wiosen i kilka jesieni. Ponieważ któregoś dnia, choć trudno w to uwierzyć, każdy z nas przestanie oddychać, zrobi się zimny, umrze! - Przerwał nagle. - Proszę wstać - polecił. - Przyjrzyjcie się uczniom, którzy chodzili do tej szkoły sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu. Śmiało, zbliżcie się, spójrzcie na ich twarze.

Chłopcy wstali i podeszli do ściany, na której w długim rzędzie wisiały portretowe fotografie niegdysiejszych uczniów. Popatrzyli na spoglądające na nich z dalekiej przeszłości młode oczy.

- Niczym się od was nie różnią, prawda? Ta sama nadzieja w oczach, ta sama wiara w dokonanie w życiu wielkich rzeczy. Jak w wielu z was. Cóż, gdzie te uśmiechy? Co z nadzieją?

Chłopcy w zamyśleniu wpatrywali się w fotografie. Keating ruszył dookoła sali i zaczął pokazywać palcem kolejne zdjęcia.

- Ilu z nich udało się dokonać choć odrobinę z tego, do czego byli zdolni - zanim zorientowali się, że jest już za późno? Czy w pogoni za wszechwładnym bogiem sukcesu... nie pogubili swoich chłopięcych marzeń? Trzeba wam wiedzieć, że większość z tych dzentelmenów użyźnia teraz ziemię pod cmentarnymi żonkilami! A jednak, jeśli tylko mocno wyteżycie słuch, usłyszycie ich wołanie. Zbliżcie się do nich - zachęcił. - Nachylcie się. Śmiało. Słyszycie? Słyszycie ich głos?

W sali zapanowała cisza. Niektórzy chłopcy niepewnie nachylili się ku fotografiom.

- Carpe diem - wyszeptał Keating niskim głosem. - Chwytajcie dzień. Uczynicie wasze życie niezwykłym.

Todd, Neil, Knox, Charlie, Cameron, Meeks, Pitts i wszyscy pozostali w napięciu wpatrywali się w zdjęcia na ścianach. Zdawało się, że twarze z czarno-białych klisz naprawdę do nich przemawiają. Z głębokiego zamyślenia wyrwał ich dzwonek.

- Dziwak - stwierdził Pitts, kiedy pakowali książki.

- Przynajmniej raz coś innego - powiedział w zadumie Neil.

- Lekcja z duchami - podsumował Knox nieco drżącym głosem.

- Jak myślicie, czy on zrobi z tego jutro kartkówkę? - spytał niepewnie Cameron.

- Daj spokój, Cameron! - zaśmiał się Charlie. - Ty kompletnie nic nie kapujesz.

## ROZDZIAŁ V

Po obiedzie uczniowie udali się do sali gimnastycznej, na lekcję wychowania fizycznego.

- Uwaga! - krzyknął nauczyciel gimnastyki. - Biegamy dookoła sali. Po każdym okrążeniu zatrzymujemy się i sprawdzamy puls. Jeśli ktoś nie wyczuje pulsu, zgłasza się do mnie. No, jazda! Coś nam się chyba uda wycisnąć z tych ciałek, co, panowie?

Chłopcy pojękując i wzdychając rozpoczęli trucht dookoła ogromnej sali. Nauczyciel oparł się w kącie o ścianę i uważnie ich obserwował.

- Ruszaj się Hastings, ruszaj! Zrzuć z siebie trochę sadła! - krzyknął do jednego z chłopców. - Sprawdzać puls!

- Tak trzymać, Overstreet! - zawołał znowu. - Niezłe tempo! - Knox uśmiechnął się i przebiegając obok nauczyciela pomachał do niego ręką.

Żaden z chłopców nie przypuszczał, że będą w stanie wytrzymać takie bieganie przez całą lekcję, gdy więc zabrzmiał dzwonek, wielu zdziwiło się, że w ich mięśniach drzemią tak duże siły.

Po lekcji przyszedł czas na orzeźwiający prysznic.

- Zaraz chyba umrę - Pitts oddychał ciężko pod strugami wody. - Ten facet powinien prowadzić szkołę kadetów.

- Nie przesadzaj, Pitts - zaśmiał się Cameron. - Na pewno będziesz miał z tego pożytek.

- Łatwo ci mówić - odkrzyknął Pitts. - Nie na ciebie się uwiał. - Zamilkł i szybko zaczął się namydlać, widząc przechodzącego wzdłuż natrysków nauczyciela, który pilnował porządku.

- Co z grupą naukową? - wykrzyknął ze swojej kabiny Meeks. - Dziś wieczorem?

- Może być dziś wieczorem! Świetnie! Jeśli chodzi o mnie, pasuje! - dobiegły głosy spod innych pryszniców.

- Podnieś mydło, Harrison! Nie widzisz, że leży w wodzie? - pokrzykiwał nauczyciel gimnastyki. - Hej, ty! - zawołał do kogoś. - Wycieraj się, bo zmarzniesz, i pośpiesz się!

- Przykro mi, Meeks, ja nie będę mógł przyjść - powiedział Knox. - Danburry'owie zaprosili mnie na obiad. Zgłosiłem już wyjście poza teren szkoły.

- Danburry'owie? Kto to taki? - zdziwił się Meeks.

- Kurczę! - zawołał z podziwem Cameron. - To absolwencka śmietanka Akademii. Jak

ci się udało, Knox?

Knox wzruszył ramionami.

- To przyjaciele mojego ojca. Mają pewnie z dziewięćdziesiąt lat, albo coś koło tego.

- Nie przejmuj się - zaśmiał się Neil. - Cokolwiek dostaniesz tam na talerzu, na pewno będzie lepsze od tych tajemniczych kawałków mięsa, którymi karmią nas tutaj.

- Co prawda, to prawda - przytaknął Charlie.

Chłopcy skończyli się ubierać, wrzucili stroje gimnastyczne do szafek i zaczęli wychodzić z szatni. Jedynie milczący Todd siedział jeszcze na ławce i powoli naciągał skarpetki.

- Dam ci pensa, jeśli zdradzisz, o czym tak rozmyślasz - zagadnął go Neil.

- Moje myśli nie są warte nawet tyle - Todd pokręcił głową.

- Przyjdiesz wieczorem? - zapytał Neil.

- Dzięki, chyba nie... muszę pouczyć się historii.

- Jasne. Ale pamiętaj, że zawsze możesz zmienić zdanie - powiedział Neil, wychodząc z szatni.

Todd patrzył za nim przez chwilę, i znowu pogрузzył się w myślach. Zawiązał buty, włożył swój strój do szafki, zapakował książki i powoli ruszył w kierunku bursy.

Idąc przyglądał się błyszczącej w dali ognistoczerwonej tarczy słońca, które wisiało nad zielonym horyzontem otaczających campus lasów. „Jest ogromne, a widziane stąd - takie małe”, pomyślał i westchnął, rozglądając się dookoła.

Zamknął się w swoim pokoju. Położył na biurku książki, westchnął znowu i usiadł.

- To nie do wiary, tyle zadań muszę teraz odrobić - powiedział do siebie, patrząc ze zgrozą na stos książek.

Sięgnął po podręcznik do historii i przyjrzał się rysunkowi na okładce, na którym przebity lancą żołnierz spadał z konia. Todd wyjął zeszyt, otworzył go na pierwszej stronie i wpatrzył się w biały prostokąt papieru. Bezwiednie wypisał na kartce wielkimi, czarnymi kulfonami: „CHWYTAJ DZIEŃ”.

- Chwytaj dzień? - powiedział głośno. - Ale jak?

Znowu westchnął, wyrwał kartkę, zmiął ją w dłoni i wrzucił do kosza na śmieci.

Zabrał się do czytania pierwszych stron podręcznika.

- Overstreet. Jesteś gotowy? - zapytał dr Hager, wchodząc do Sali Reprezentacyjnej, gdzie Knox jeszcze raz przyglądał się wyblakłym zdjęciom przedstawiającym dawnych uczniów Akademii Weltona.

- Tak, proszę pana. Dziękuję - odparł Knox i poszedł za dr Hagerem do brązowego

szkolnego mikrobusu, zaparkowanego przed budynkiem.

Kolory vermonckiej jesieni gasły powoli w zapadającym zmierzchu.

- To piękne, kiedy barwy tak się zmieniają, prawda, panie Hager? - rzucił w uniesieniu Knox.

- Jakie kolory? Aaa, tak - zaburczał Hager, wyjeżdżając na drogę prowadzącą do imponującej posiadłości Danburrych.

- Dziękuję panu za podwiezienie, panie Hager - powiedział Knox z uśmiechem, kiedy dojechali na miejsce. - Państwo Danburry obiecali, że odwiozą mnie z powrotem do szkoły.

- Przed dziewiątą, mój chłopcze - powiedział krótko dr Hager.

- Tak, proszę pana.

Knox wysiadł z samochodu, wszedł na ganek białego, ogromnego domu w stylu kolonialnym i nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem i przed Knoxem stanęła śliczna dziewczyna o jasnych włosach i niebieskich oczach, ubrana w krótką, tenisową spódniczkę i wełniany sweterek. Mogła być od niego o rok, najwyżej dwa, starsza.

- Cześć - uśmiechnęła się. Jej oczy jaśniały pogodnie. Knox zaniemówił.

- Aaa... cześć - wykrztusił wreszcie.

- Przyszedłeś do Cheta, tak? - zapytała dziewczyna. Knox milczał i patrzył na nią, zauroczony. Prawdę mówiąc, nie znał żadnego Cheta.

Do Cheta? - spytała ponownie, nie kryjąc rozbawienia. - Czy przyszedłeś do Cheta?

- Pani Danburry? - Knox wyjąkał pośpiesznie, widząc jakąś kobietę nadchodzącą z głębi domu.

- Knox! - Janette Danburry przywitała go z uśmiechem. - Wejdz, proszę, czekaliśmy na ciebie.

Jasnowłosa dziewczyna wycofała się na schody.

Knox szedł za panią Danburry, nie przestając patrzeć na dziewczynę, która wbiegała na piętro, przeskakując po dwa stopnie.

Pani Danburry wprowadziła go do przestronnej, wyłożonej boazerią biblioteki.

- Joe - powiedziała do ubranego zgodnie z najnowszą modą mężczyzny około czterdziestki. - Przyjechał Knox.

Joe Danburry wyciągnął energicznie rękę i uśmiechnął się serdecznie.

- Knox. Świetnie, że jesteś. Proszę, wejdz. Jestem Joe Danburry.

Miło mi pana poznać - Knox przywitał się z uśmiechem, usiłując nie spoglądać w kierunku schodów.

- Ty i twój ojciec jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Jak on się miewa?

- zapytał Joe, przygotowując dla Knoxa szklankę wody sodowej.

- Doskonale. Właśnie wygrał jakąś dużą sprawę dla General Motors.

- Aha! Cały on! Domyślam się, że pójdziesz w jego ślady, prawda? Syn i ojciec, jedna krew - zaśmiał się Joe Danburry. - Poznałeś już naszą córkę, Virginie?

- To była państwa córka? - zapytał podekscytowany Knox.

- Virginio, przywitaj się, proszę - pani Danburry zwróciła się do ładnej piętnastolatki, która stała w drzwiach po drugiej stronie biblioteki.

- To jest Ginny - powiedziała, zwracając się do Knoxa.

- Cześć - powiedziała nieśmiało Ginny.

- Cześć - odpowiedział rozczarowany Knox, rzucając na nią przelotne spojrzenie.

Jego wzrok uparcie kierował się ku schodom, na szczycie których pojawiła się teraz para smukłych nóg. Knox usłyszał dochodzący stamtąd stłumiony chichot. Zakłopotany odwrócił się do Ginny.

- Ależ siadaj, chłopcze, siadaj - pan Danburry wskazał Knoxowi głęboki, skórzany fotel. - Czy twój ojciec opowiadał ci kiedyś o naszej sprawie sądowej, którą prowadziliśmy wspólnie w Bostonie?

- Słucham? - zapytał Knox nieprzytomnie. Dziewczyna w tenisowej spódniczce schodziła na dół z wysokim, atletycznie zbudowanym młodzieńcem.

- Nigdy ci nie mówił, co się nam przydarzyło? - śmiał się pan Danburry.

- Hmm... nie - powiedział Knox, nie odrywając oczu od dziewczyny. Para weszła do biblioteki, gdy pan Danburry rozpoczynał opowieść.

- Byliśmy w kropce - powiedział. - To była największa sprawa w mojej karierze. Szło o duże pieniądze. Bardzo duże, a ja byłem pewien, że ją przegram. W przeddzień decydującej rozprawy przyszedł do mnie twój ojciec i powiedział, że jest w stanie wynegocjować korzystne porozumienie między stronami, ale pod warunkiem, że jemu przypadnie całe honorarium. Taki był z niego kawał drania! - Uderzył dłonią o kolano.

- I wiesz, co zrobiłem?

- Eeemm...?

- Zgodziłem się! - zagrzmiał. - Tak mi na tym zależało, że oddałem twojemu ojcu całą swoją dole - zaniósł się donośnym śmiechem.

Knox udawał rozbawionego, aby nie zrobić przykrości panu Danburry'emu, nie spuszczał jednak wzroku ze stojącej w progu pary, a właściwie tylko z jej ładniejszej połowy...

- Tato, mogę wziąć buicką? - przerwał im młodzieniec.

- Czy coś jest nie w porządku z twoim wozem? - spytał Joe Danburry. - Chet, przede wszystkim, gdzie twoje maniery? Poznajcie się. Knox, to mój syn, Chet. A to jest jego dziewczyna, Chris Noel. To Knox Overstreet.

- Właściwie to już się poznaliśmy - powiedział Knox, gapiąc się na Chris. - No... prawie.

- Tak - potwierdziła z uśmiechem.

- Cześć - rzucił obojętnie Chet. Pani Danburry wstała.

- Przepraszam, muszę dopilnować w kuchni steków - powiedziała.

- No, tato. Dlaczego robisz z tego problem? - pytał dalej Chet.

- Dlatego, że kupiłem ci sportowy samochód, a ty prosisz mnie ciągle o starego buicka.

- Matka Chris czuje się spokojniejsza, kiedy jeździmy bezpieczniejszym samochodem, prawda, Chris? - Chet posłał jej szelmowskie spojrzenie.

Chris oblała się rumieńcem.

- Właściwie możemy jechać tym nowym, Chet - powiedziała.

- Właśnie, że nie możemy. Tato, nie daj się dwa razy prosić...

Joe Danburry wyszedł z biblioteki. Chet wzdychając poszedł za nim.

Przecież nie wyjeżdżasz dziś wieczorem buickiem, prawda? - nalegał. - Więc dlaczego ja nie mogę nim pojechać?

Gdy spór przeniósł się do holu, Knox, Chris i Ginny zostali sami w bibliotece.

- Emm... do jakiej szkoły chodzisz? - spytał po chwili Knox.

Do Ridgeway - odpowiedziała Chris. - A co słychać w szkole Henley'a, Gin?

- W porządku - krótko odparła Ginny.

- To wasza bliźniacza szkoła, prawda? - spytała Chris, patrząc na Knoxa.

- Tak jakby.

- Ginny, będziesz brała udział w nowym przedstawieniu w Henley Hall? - zapytała Chris. - Wiem, że będą wystawiali „Sen nocy letniej” Szekspira - zwróciła się do Knoxa.

Może - Ginny wzruszyła ramionami. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Jak poznałaś Cheta? - zapytał nagle Knox. Dziewczęta spojrzały na niego zdumione.

- No... to znaczy... jąkał się Knox.

- Chet gra w naszej szkolnej drużynie futbolowej w Ridgeway - wyjaśniła Chris - a ja w czasie meczów tańczę w zespole dziewcząt. Kiedyś Chet chodził do Akademii Weltona, ale zawalił egzaminy. - Odwróciła się do Ginny. - Powinnaś występować z nami, Gin. Byłabyś świetna.



Ginny nieśmiało spuściła wzrok. W drzwiach pojawił się Chet.

- Chris - powiedział - mamy buicka. Jedziemy.

- Miło było cię poznać, Knox. - Chris uśmiechnęła się, wychodząc z biblioteki. Wzięła Cheta za rękę. - Trzymaj się, Gin.

- Mnie również było bardzo miło, Chris - wyrzucił z siebie Knox.

- Równie dobrze mogliby zostać z nami na kolacji - powiedziała Ginny, gdy zostali sami.

Zapadła niezręczna cisza.

- Chet koniecznie chciał pożyczyć buicka, bo jest tam więcej miejsca na... no, żeby mogli się obłapiać - powiedziała zawstydzona, nie potrafiąc znaleźć lepszego słowa.

Knox widział przez okno, jak Chet i Chris zbliżają się do samochodu. Zanim weszli do środka, pocałowali się namiętnie. Poczul, jak zawrzało w nim z zazdrości.

Dwie godziny później Knox wszedł chwiejnym krokiem do pokoju, w którym Neil, Cameron i Charlie uczyli się matematyki, a Pitts i Meeks konstruowali mały, amatorski odbiornik radiowy. Knox zwałił się na łóżko jak kłoda.

- Nie smakowała ci kolacja? - spytał Charlie. - Wyglądasz, jakbyś nabawił się nerwicy po wybuchu bomby w okopie. Czym cię tam nakarmili? Czyżby Tajemniczymi Kawalkami Mięsa z Akademii Weltona?

- To potworne - załkał Knox. - Okropne! Przed godziną poznałem najpiękniejszą dziewczynę, jaką kie-dy-kol-wiek widziałem w swoim życiu!

Neil poderwał się od stołu i przyskoczył do łóżka.

- Zwariowałeś? Co w tym potwornego?

- To, że praktycznie jest już zaręczona. Z Chetem Danburrym. Panem Fizolem Wielkim we własnej osobie. Obrońcą futbolowym! - wyjęczał zrozpaczony Knox.

- To rzeczywiście niedobrze - zgodził się Pitts.

- Niedobrze?! Człowieku, to tragedia! - krzyknął Knox. - Dlaczego ona musi kochać się w ostatnim chamie?

- Wszystkie najlepsze dziewczyny wiążą się z chamami - skonstatował trzeźwo Pitts. - Dobrze o tym wiesz. Zapomnij o niej. Lepiej weź podręcznik do trygonometrii i pomęcz się z poleceniem dwunastym.

- Nie potrafię o niej tak po prostu zapomnieć, Pitts. I nie mogę myśleć teraz o matematyce!

- Możesz, możesz. Twoja sinusoida tak oszalała, że wypada z wykresu. Siłą rzeczy, jesteś wplątany w trygonometrię po uszy - zaśmiał się głośno Meeks.

- Och, Meeks! To było głupie - powiedział Cameron, kręcąc z politowaniem głową.

Meeks wyszczerzył zęby.

- Tak? A ja myślałem, że to było śmieszne.

Knox odwrócił się do kolegów.

- Czy naprawdę sądzicie, że powinienem o niej zapomnieć?

- A masz jakiś wybór? - spytał Pitts.

Knox upadł przed nim na kolana i wyciągnął ręce, jakby chciał mu się oświadczyć.

- Pittsiu kochany, tylko ty! O niebiańskich oczach! - zawołał teatralnie. - Nie ma nikogo innego!

Pitts odepchnął go i Knox wpadł na krzesło. Chłopcy wrócili do trygonometrii.

- Na dzisiaj kończymy, chłopaki - zarządził Meeks. - Nie martwcie się, jutro znowu znajdą nam coś do roboty.

- Słuchajcie, a co z Toddem? - spytał Cameron, kiedy zbierali książki i zeszyty.

- Mówił, że chce się pouczyć historii - odpowiedział Neil.

- Chodź, Knox - powiedział Cameron. - Jakoś przeżyjesz ten policzek. Może kiedyś wpadniesz na pomysł, jak ją zdobyć. Pamiętaj: chwytaj dzień!

Następnego ranka Keating siedział spokojnie przy swoim biurku. Wydawało się, że nie jest w najlepszym nastroju.

- Chłopcy - powiedział, gdy dzwonek rozpoczął lekcję - otwórzcie podręcznik Pritcharda na dwudziestej pierwszej stronie wstępu. Perry - skinął głową w stronę Neila - bądź łaskaw przeczytać na głos pierwszy akapit wprowadzenia „Zrozumieć poezję”.

Chłopcy odszukali wskazaną stronę, usiedli wygodnie i zaczęli śledzić zdania, które czytał Neil:

- „Zrozumieć poezję. Napisał J. Evans Pritchard, doktor filologii. Aby w pełni zrozumieć poezję i trafnie ocenić jej wartość, musimy osiąść najpierw umiejętność rozpoznawania stopy wiersza, rymów i tropów, a następnie postawić przed sobą dwa zasadnicze pytania. Pierwsze: z jakim artyzmem przedstawiono w wierszu podjęty temat? I drugie: jaką wagę znaczeniową ten temat posiada? Odpowiedź na pytanie pierwsze ocenia artystyczną doskonałość utworu, a odpowiedź na pytanie drugie ocenia ważność jego treści. Kiedy odpowiemy już na oba pytania, zrozumienie wiersza i określenie jego wspaniałości przyjdzie nam stosunkowo łatwo. Wystarczy, jeśli artystyczną doskonałość odłożymy na osi horyzontalnej, a ważność treści na osi wertykalnej. Wówczas rozmiar zakreślonego na naszym wykresie pola stanie się dla nas odpowiednią miarą wspaniałości wiersza. Na

przykład, sonet Byrona może uzyskać wysoką notę na osi wertykalnej, ale jedynie przeciętną na osi horyzontalnej, gdy tymczasem sonet Szekspira uzyska wysokie noty zarówno na osi wertykalnej, jak i horyzontalnej, dając nam na wykresie bardzo duże pole i ujawniając w ten sposób swą rzeczywistą wspaniałość.”

W czasie gdy Neil czytał, Keating podniósł się z krzesła i podszedł do tablicy. Wziął do ręki kredę i narysował wykres, pokazując za pomocą osi i prostych prostopadłych, jak bardzo wiersz Szekspira przewyższa wiersz Byrona. Cameron sięgnął po linijkę i zaczął starannie przerysowywać wykres do zeszytu.

Neil czytał dalej:

- „Analizując w dalszej części niniejszego podręcznika kolejne wiersze, stosuj powyższą metodę graficzną. Wraz z coraz pewniejszym jej opanowaniem, wzrośnie twoja radość z czytania wierszy oraz umiejętność zrozumienia poezji.” Koniec, proszę pana.

Keating poczekał, aż chłopcy przetrawią usłyszane przed chwilą zdania. Nagle złapał się kurczowo za gardło, jakby się dusił, i wycharczał: „AAAHHHGGGGH!”

- Bzdury! Do pieca! Na śmietnik z tym! Wyrwijcie tę stronę z waszych podręczników! Wyrrywajcie! Całą stronę! Chcę, żeby te bzdury wylądowały w koszu na śmieci! Tam jest ich miejsce!

Złapał kosz na śmieci, uniósł go w teatralnym geście i ruszył między rzędy, zatrzymując się przed pierwszym uczniem, by mógł wrzucić do kosza wyrwaną stronę. Chłopcy parsknęli śmiechem. Cameron rozdziawił usta ze zdumienia, po czym ukradkiem wydarł z zeszytu kartkę, na której rysował wykres.

- Wyrwijcie cały ten wstęp! Wyrrywajcie dokładnie - pouczał Keating. - Niech nie zostanie po niej ani jeden strzępek! Doktorze Evansie Pritchardzie, pan okrył się hańbą!

Śmiechy stały się głośniejsze i zwróciły uwagę wykładającego w sali naprzeciwko „szkockiego” łacinnika, pana McAllistera. McAllister wyszedł ze swojej klasy i przez małe okienko w drzwiach zajrzał do sali Keatinga. Widząc uczniów drących kartki w podręcznikach, wpadł do środka.

- Co tu się... - zaczął i urwał w pół słowa, dostrzegłszy biegającego wśród ławek nauczyciela z koszem na śmieci.

- Przepraszam, myślałem, że pana tu nie ma, panie Keating. - Zbity z tropu i zażenowany, McAllister wycofał się po cichu, zamykając za sobą drzwi.

Keating wrócił majestatycznie na środek klasy, postawił kosz na podłodze do góry dnem i stanął na nim. Chłopcy wybuchnęli jeszcze donośniejszym śmiechem. W oczach Keatinga błyskały ogniki. Tupnął w kosz kilka razy, a potem zeskoczył i kopnął go daleko w

ką. Zmięte kartki rozsypały się po podłodze.

- To jest prawdziwa bitwa, chłopcy - krzyknął. - To wojna! Wasze młode dusze pełne są buntu i krytycyzmu. Albo poddacie się teraz woli akademickiego „hoi poili” i wasz owoc obumrze, zanim urodzi się wino, albo... zwycięży w was indywidualność. Nie obawiajcie się. Na pewno jeszcze pouczymy się na moich lekcjach tak, jak wymaga tego Akademia. Ale ze mną, jeśli tylko dobrze wykonam swoją robotę, nauczycie się znacznie więcej. Na przykład... nauczycie się smakować słowo. Bez względu na to, co jeszcze w życiu usłyszycie, pamiętajcie, że słowo i idea mają moc zdolną zmienić świat. Przed momentem użyłem zwrotu „hoi poili”. Czy ktoś wie, co on oznacza? Overstreet, rusz swoim stalowym hełmem.

W klasie rozległ się śmiech. Overstreet zmarszczył brwi w głębokim namyśle, ale nie potrafił odpowiedzieć na pytanie.

- A ty, Anderson? No, chłopie. Jesteś mężczyzną? Klasa znowu się roześmiała i wszyscy spojrzeli na Todda, który wyprostował się w skupieniu. Po chwili zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy:

- Nie wiem.

Meeks podniósł rękę do odpowiedzi.

- „Hoi poili”. Czy to nie znaczy „stado”?

- Oczywiście, panie Meeks - odparł Keating. - W języku greckim zwrot ten znaczy „stado”. Proszę jednak uważać, bowiem jeśli użyjecie zwrotu „hoi poili”, to w rzeczy samej powiecie: „to nasze stado”, co znaczy, że również sam mówiący do stada należy. Zatem, mówiąc: „hoi poili”, stwierdzamy po prostu, że wszyscy należymy do bezmyślnego stada.

Keating uśmiechnął się lekko i przeszedł na drugi koniec sali.

- Pan Pitts może powątpiewać w wartość dziewiętnastowiecznej literatury, twierdząc, że nie ma ona nic wspólnego ani ze szkołą biznesu, ani z akademią medyczną, ani z kancelarią adwokacką. Uważa zapewne, że powinniśmy wkuć doktora Pritcharda, nauczyć się metrum i metafor, by spokojnie zająć się realizowaniem bardziej poważnych życiowych planów.

Pitts poprawił się na krześle.

- Kto? Ja? - zapytał, nie bardzo rozumiejąc.

Keating plasnął otwartą dłonią w ścianę za plecami uczniów. Podskoczyli na swoich miejscach i jak na komendę odwrócili się w jego kierunku.

- Cóż - szepnął Keating. - Mówię wam, takie myślenie to absurd! Czytamy poezję, bo należymy do ludzkiego gatunku. A gatunek ludzki przepełniony jest namiętnościami! Oczywiście, medycyna, prawo, bankowość to dziedziny niezbędne, by utrzymać nas przy

życiu. Ale poezja, romans, miłość, piękno? To wartości, dla których żyjemy. Whitman powiedział tak:

*O ja! O życie! Pytań  
Tych co stale powracają,  
Nie kończących się pociągów niewierzących,  
Miast głupcami przepelnionych  
Cóż dobrego w tym, o ja, o życie?  
Odpowiedz  
Że tu jesteś - że istnieje życie i tożsamość  
Że sztuka trwa i także ty dopisać możesz wers.*

Chłopcy siedzieli w milczeniu, zamyśleni. Keating rozejrzał się i z naciskiem powtórzył ostatnie zdanie:

- „Że sztuka trwa i także ty dopisać możesz wers.”

Powoli wrócił do katedry. Wszystkie oczy wpatrywały się w jego rozjaśnioną twarz. Spojrzał uważnie na uczniów.

- Jaki będzie *wasz* ostatni wers? - zapytał z namysłem. W klasie było cicho.

- Otwórzmy podręczniki na stronie sześćdziesiątej i przeczytajmy, co na temat romantyzmu sądził Wordsworth.

## ROZDZIAŁ VI

W refektorium, gdy wszyscy zebrali się na obiad, McAllister przysunął się bliżej Keatinga.

- Pozwoli pan, że usiądę obok? - zapytał, sadowiąc na krześle swoje potężne cielsko i gestem ręki przywołując kelnera.

- Będzie mi bardzo przyjemnie - odparł Keating z uśmiechem.

- Miał pan dziś dość interesującą lekcję - zaczął zjadliwie McAllister.

- Przepraszam, jeśli to pana zaszokowało - Keating podniósł na niego oczy.

- Proszę nie przeproszać - odpowiedział McAllister, kręcąc głową i przeżuwiąc Tajemnicze Mięso Weltona. - To był całkiem fascynujący eksperyment, choć... dość zwodniczy.

- Tak pan sądzi? - Keating podniósł brwi.

- Bezsprzecznie. John, podejmujesz duże ryzyko, zachęcając chłopców do tego, by stali się artystami. Kiedy zorientują się, że nie są ani Rembrandtami, ani Mozartami, ani Szekspirami, znienawidzą cię.

- Ależ George, wcale nie mają stać się artystami - zaproponował Keating. - Nie pojąłeś istoty rzeczy. Zależy mi raczej na tym, by zostali wolnomyślicielami.

- Ach - zaśmiał się pod nosem McAllister. - Siedemnastoletni wolnomyśliciele?

- Nigdy nie podejrzewałem, że jesteś cynikiem - powiedział Keating, popijając kawę małymi łykami.

- Nie cynikiem, mój drogi - sprostował z naciskiem McAllister. - Realistą! Pokaż mi serce nie opętane zwodniczymi marzeniami, a pokażę ci człowieka szczęśliwego! - McAllister przeżuwał kolejną porcję mięsa.

- Ale twoje lekcje na pewno będą mi sprawiały dużą radość, John - dodał. - Na pewno. Keating uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Mam nadzieję, że nie tylko tobie - powiedział, spoglądając kątem oka na grupę chłopców siedzących nieco dalej przy stole.

Do refektorium wpadł nagle, prawie biegnąc, Neil Perry, taszcząc ze sobą jakąś księgę. Chłopcy podnieśli głowy. Neil przemierzył salę szybkim krokiem i usiadł przy kolegach. Obrzucili go pytającym wzrokiem.

- Chłopaki, nie uwierzycie! - wydyszał, z trudem łapiąc oddech. - W bibliotece natknąłem się na Księgę Pamiątkową jego rocznika. - Neil wskazał wzrokiem Keatinga,

zajętego rozmową z McAllisterem. Otworzył księgę i zaczął czytać.

- Kapitan drużyny piłkarskiej, redaktor Księgi Pamiątkowej Akademii, kandydat do Cambridge, człowiek zdolny do wszystkiego, stwarza kłopoty, „Stowarzyszenie umarłych poetów”.

Chłopcy rzucili się na księgę.

- Stwarza kłopoty? - roześmiał się Charlie. - Pan K. musiał być niezłym zawadiaką. Kto by pomyślał.

- Co to jest „Stowarzyszenie umarłych poetów”? - zapytał Knox, przeglądając fotografie uczniów z klasy Keatinga.

- Może jest jakieś zdjęcie tego stowarzyszenia? - zasugerował Meeks.

- Nic z tych rzeczy - odparł Neil, uważnie studiując podpisy. - Nigdzie nie ma o tym mowy.

Widząc nadchodzącego dyrektora, Charlie trącił Neila.

- Nolan...! - szepnął ostrzegawczo.

Neil podał pod stołem księgę do Camerona, a ten natychmiast oddał ją Toddowi, który spojrzał na niego zdziwiony, ale szybko schował książkę.

- Podobają ci się lekcje, Perry? - zapytał Nolan, zatrzymując się przy chłopcach.

- Tak, proszę pana. Bardzo - odpowiedział Neil.

- A pan Keating? Wydaje się wam interesujący?

- Jak najbardziej - odpowiedział Charlie. - Właśnie o nim rozmawialiśmy.

- To dobrze - powiedział Nolan z zadowoleniem. - Wiążemy z nim wielkie nadzieje.

Przez trzy lata był stypendystą Rhode'a w angielskim Oxfordzie.

Chłopcy przytaknęli skwapliwie, uśmiechając się uprzejmie. Nolan odszedł.

Todd położył sobie księgę na kolanach i przeglądał ją, kończąc sałatkę warzywną.

- Zabieram księgę - powiedział Neil, kiedy wstali od stołu.

- Co zamierzasz z nią zrobić? - zapytał Todd z wahaniem.

- Chcę ją trochę postudiować - odparł Neil, uśmiechając się tajemniczo.

Tego samego dnia, po lekcjach, Neil, Charlie, Meeks, Pitts, Cameron i Todd, wracając do bursy zauważyli idącego przez trawnik pana Keatinga. Miał na sobie sportowy płaszcz i długi, okręcony wokół szyi szalik. Pod pachą dźwigał stertę książek.

- Panie Keating! - zawołał Neil. - Proszę pana! O, kapitanie mój, kapitanie!

Keating zatrzymał się i poczekał, aż do niego dołączą.

- Co to było „Stowarzyszenie umarłych poetów”, proszę pana? - zapytał Neil.

Twarz Keatinga poczerwieniała na moment.

- Przeglądałem Księgę Pamiątkową z dawnego rocznika i... - wyjaśniał Neil.

- Nie ma w tym nic złego - odpowiedział Keating, odzyskując spokój.

Czekali, aż powie coś więcej.

- Ale co to było? - naciskał Neil.

Keating rzucił dookoła wzrokiem, upewniając się, czy nikt ich nie obserwuje.

- To była tajna organizacja - szepnął. - Nie wiem, jak dzisiaj patrzyłaby na coś takiego dyrekcja szkoły, ale nie sądzę, by okazywała przychyłność.

Znowu się rozejrzał. Chłopcy wstrzymali oddechy.

- Umiecie dochować tajemnicy?

Przytaknęli pośpiesznie.

- Umarli poeci poświęcali się spijaniu soków życia. To fraza Thoreau, którą rozpoczynaliśmy każde spotkanie. Była nas niewielka grupa, zbieraliśmy się w starej grocie, gdzie każdy z nas kolejno czytał na głos poezje Shelleya, Thoreau, Whitmana, a także własne wiersze. Poddawaliśmy się całkowicie czarowi i magii poezji - oczy Keatinga błysnęły na wspomnienie odległej przeszłości.

- Jak to? To znaczy, siedziało sobie kilku facetów i czytało na głos wiersze? - zapytał zbity z tropu Knox.

Keating uśmiechnął się.

- Hmm... udział brały w tym także przedstawicielki płci przeciwnej, panie Overstreet. Poza tym, uwierzcie, proszę, nie czytaliśmy ot, tak sobie. Słowa spływały z naszych ust niczym miód. Kobiety omdlewały, lały się łzy, dusze sięgały wyżyn... Panowie, to były narodziny bogów.

Chłopcy stali przez chwilę w milczeniu.

- Co oznaczała ta nazwa? - zapytał Neil. - Czytaliście wiersze tylko tych poetów, którzy już nie żyli?

- Nie, nie... można było przeczytać każdy wiersz, panie Perry. Nazwa oznaczała tylko tyle, że ten, kto chciał przystąpić do stowarzyszenia, musiał być *umarłym*.

- Co? - wykrzyknęli chłopcy jednocześnie.

- Żyjący ślubowali jedynie wierność, byli kandydatami Stowarzyszenia. Aby zostać pełnoprawnym jego członkiem, trzeba terminować całe życie, aż do śmierci. Tak więc, nawet ja jestem zaledwie wtajemniczonym nowicjuszem - wyjaśnił.

Chłopcy popatrywali na siebie ze zdziwieniem.

- Ostatnie spotkanie odbyło się chyba z piętnaście lat temu - powiedział Keating.

- Jeszcze raz rozejrzał się, czy ich nikt nie obserwuje, po czym odwrócił się odszedł



spokojnym krokiem.

- Chłopaki, pójdziemy tam nocą - powiedział Neil, gdy Keating zniknął im z pola widzenia. - Kto za?

- A gdzie w ogóle jest ta grota? - zapytał Pitts.

- Za strumykiem. Koło wodospadu. Znam to miejsce - zapewnił Neil.

- To przecież strasznie daleko - narzekał Pitts.

- Mnie się wydaje, że to nudy na pudy - powiedział Cameron.

- To nie idź - Charlie wzruszył ramionami.

- Zdajesz sobie sprawę, ile karnych punktów możemy przy tym złapać? - Cameron wyraźnie usiłował ich zniechęcić.

- To nie idź - powtórzył Charlie. - Ja nawet ciebie proszę, nie idź.

- Ale mi chodzi tylko o to - Cameron zaczął się wycofywać - że musimy być ostrożni.

Mogą nas nakryć.

- Żartujesz, stary!? Naprawdę, panie Sherlocku? - zgasił go Charlie.

- Kto za? - powtórzył swoje pytanie Neil, ucinając dyskusję.

- Ja - zgłosił się Charlie.

- Ja też - powiedział za nim Cameron.

Neil spojrzał na Knoxa, Pittsa i Meeksa. Pitts wyraźnie się wahał.

- No...

- Nie ociągaj się, Pitts - zachęcał Charlie.

- Pitts musi poprawić kilka stopni - Meeks usiłował wytłumaczyć kolegę.

- Dasz mu dodatkowe lekcje, Meeks - zaproponował Neil.

- Co to ma właściwie być, chłopaki, nocna grupa naukowa? - zapytał wciąż niezdecydowany Pitts.

- Dobra Pittsiu, idziesz z nami - zawyrokował Neil. - A ty, Meeks? Może też musisz poprawić jakieś stopnie?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Idę - zdecydował Meeks. - Wszystkiego trzeba *kiedyś* spróbować.

- No, może z wyjątkiem seksu, co, Meeks? - zaśmiał się Charlie. - Stary chłopczyku?

Meeks spąsował, a pozostali znowu zaczęli się śmiać.

- Musimy być bardzo ostrożni - uspokajał sam siebie Cameron.

- Knox, a ty? - pytał dalej Charlie.

- Nie wiem - powiedział Knox. - Nie bardzo kapuję, o co tu chodzi.

- Chodź z nami - zachęcał Charlie. - To ci pomoże zdobyć Chris.

- Naprawdę? - Knox błysnął oczami. - W jaki sposób?

- Jak to, w jaki? Słyszałeś przecież, co mówił Keating. Kobiety omdlewały!

- Ale dlaczego? - dla Knoxa było to niezrozumiałe. Ruszyli powoli w kierunku szkoły.

Knox przyłączył się do Charliego.

- Charlie, powiedz, dlaczego one omdlewały? Dlaczego w ogóle kobiety mdleją?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. Z dala doszedł dźwięk dzwonka wzywającego na kolację. Chłopcy pobiegli w stronę budynku.

Po kolacji Neil i Todd poszli do szkolnej czytelnicy na zajęcia pozalekcyjne i usiedli w jednej ławce.

- Słuchaj - powiedział Neil ściszym głosem - zapraszam cię na spotkanie „Stowarzyszenia”. - Przed chwilą Neil uświadomił sobie, że właściwie nikt dotąd nie zapytał Todda, czy się do nich przyłączy. - Nie możesz zdawać się tylko na to, że inni będą ciągle o tobie pamiętać. Nikt cię dobrze nie zna, a ty sam unikasz towarzystwa.

- Dziękuję za radę - odpowiedział Todd. - Ale nie o to chodzi.

- A o co? - zapytał Neil.

- Ja... ja nie chcę iść i już... - jękał się Todd.

- Ale dlaczego? - zapytał Neil. - Nie rozumiesz, że Keating chce przekazać nam coś istotnego? Nie sądzisz, że warto coś zrobić?

Na widok zbliżającego się nauczyciela, który nadzorował zajęcia, Neil szybko przewrócił stronę w podręczniku, udając, że jest pochłonięty czytaniem. Nauczyciel spojrzał na nich podejrzliwie.

Kiedy odszedł wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć, Todd powiedział szeptem:

- Tak, warto, ale...

- Ale co? Todd, powiedz mi - poprosił Neil.

Todd odwrócił oczy.

- Ja nie chcę czytać.

- Co? - Neil spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Keating powiedział, że oni tam czytali - tłumaczył Todd. - Ja nie chcę tego robić.

- Boże, człowieku, ale ty masz problemy, co? - Neil pokręcił głową. - Co ci szkodzi trochę poczytać? Przecież o to chyba chodzi, prawda? Żeby wyrazić siebie, swoje myśli?

- Neil, nie umiem ci tego wytłumaczyć - Todd oblał się rumieńcem. - Po prostu nie chcę.

Patrząc na niego ze złością, Neil zaczął bezmyślnie kartkować podręcznik. Nagle przerwał, jak gdyby wpadł na jakiś pomysł.

- A jeśli nie będziesz musiał czytać? - zasugerował. - Jeśli po prostu przyjdiesz, usiądziesz z boku i będziesz słuchał?

- Przecież nie w tym rzecz - zauważył Todd. - Skoro zdecyduję się przyjść, to chłopaki będą chcieli, żebym również czytał.

- Wiem, ale jeśli się zgodzą, żebyś nie czytał?

- Mam ich prosić? - Todd znowu się zaczerwienił. - Neil, to upokarzające.

- Wcale nie - powiedział Neil, podrywając się z krzesła. - Poczekaj tutaj.

- Neil! - zawołał za nim Todd.

Nauczyciel rzucił mu karcące spojrzenie.

Neil zniknął, zanim Todd zdołał go zatrzymać. Oparłszy czoło na dłoni, przygnębiony Todd zagłębił się w dzieje wojny secesyjnej, robiąc w zeszycie notatki.

## ROZDZIAŁ VII

Kiedy uczniowie w bursie zaczęli szykować się do snu, Neil ściszym głosem prowadził na korytarzu rozmowę z Knoxem i Charliem. Co kilka chwil przebiegali koło nich chłopcy w piżamach, ściskający pod jedną pachą poduszki, a pod drugą książki. Neil zarzucił sobie ręcznik na ramię, poklepał Knoxa i odszedł do pokoju. Kiedy wszedł do środka i zamknął drzwi, zauważył na biurku coś, czego tam wcześniej nie było. Powiesił ręcznik na wieszaku.

Przez moment wahał się, po czym podszedł do biurka i wziął do ręki stary, mocno pożółkły tomik antologii poezji. Otworzył go. W środku, na wewnętrznej stronie okładki, dużymi literami napisane było nazwisko: „J. KEATING”. Neil przeczytał głośno słowa skreślone pod nazwiskiem: „Umarli poeci”. Rozciągnął się wygodnie na łóżku i z zaciekawieniem zaczął przerzucać cienkie kartki. Gdzieś po godzinie jak przez mgłę dotarło do niego, że krzątanka na korytarzu już ucichła, zamykały się ostatnie drzwi, gasły światła. „Idzie Hager, ten facet chyba nigdy nie śpi”, pomyślał, wsłuchując się w człapanie ciężkich kroków na korytarzu. Nagle wydało mu się, że Hager zatrzymał się dokładnie przed jego pokojem.

- Cicho coś - Hager pokręcił głową, stojąc pod drzwiami. - Podejrzenie cicho.

Kilka godzin później, gdy bursa pogrążona była w głębokiej ciszy, chłopcy spotkali się pod starym klonem na dziedzińcu szkoły. Ubrani w zimowe płaszcze, czapki z nausznikami, szaliki i rękawiczki, wyposażeni w dwie latarki i kilka kanapek, byli gotowi do drogi.

Zza krzewów rozległo się nagle warczenie psa. Chłopcy znieruchomieli. „Wrrr!”... szkolny dog, węsząc z nosem przy ziemi, wybiegł z zarośli i podszedł do nich powoli.

- Dobry piesek... - powiedział niepewnie Pitts, podtykając psu pod nos garść ciasteczek. Drugą garść położył obok na ziemi.

- Chłopaki, spływamy syknął cicho, gdy dog z mlaśnięciem zabrał się do jedzenia.

- Masz łeb nie od parady, Pittsiuniu - pochwalił go Neil.

Szybko przebiegli przez dziedziniec i dopadli do bramy.

- Zimno - zadrżał Todd, gdy wyszli poza teren szkoły. Na otwartej przestrzeni hulał jesienny wiatr.

Weszli w ciemny, sosnowy, budzący lęk las. Pierwszy szedł Charlie, za nim, ciężkimi krokami, dygocząc z zimna, posuwali się pozostali chłopcy.

- To już niedaleko - powiedział Knox, gdy dotarli nad brzeg wartkiego strumyka. Nie opodal szumiał mały wodospad. Zaczęli rozglądać się za wejściem do groty.

Powinno znajdować się w tych okolicach, wśród gęstych krzewów i splątanych korzeni potężnych drzew.

- Jjje!! - wrzasnął nagle Charlie, wyskakując z jakiejś nory. - Jestem już chyba umarłym poetą!

Znalazł grotę.

- Heej! - zawył Meeks. - Właż do środka, Dalton - dodał trzeźwo, gdy opuściła go pierwsza fala emocji.

- To na pewno tu, chłopaki - Charlie uśmiechnął się. - Jesteśmy w domu.

Stłoczyli się przy wejściu. Pierwszych kilka minut wewnątrz jaskini spędzili na zbieraniu porzucanych patyków, gałęzi i liści, z których zamierzali rozpalić ognisko. W chwilę później strzeliły w górę jasne płomienie. Zimną, skalną czeluść zaczęło wypełniać przytulne ciepło. Stanęli kręgiem wokół ogniska. Nikt nie ważył się odezwać słowem, zupełnie jakby było to miejsce święte.

- Niniejszym wznawiam posiedzenia weltońskiego oddziału „Stowarzyszenia umarłych poetów”! - powiedział uroczyście Neil. - W kolejnych spotkaniach będę uczestniczył ja oraz pozostali zgromadzeni tu w obecnej chwili nowicjusze Stowarzyszenia. Todd Anderson, który postanowił nie czytać wierszy, zostanie sekretarzem i będzie mierzył czas wystąpień.

Todd zamrugnął zdziwiony oczami. Nie był zbyt uszczęśliwiony, ale jednocześnie nie potrafił się przemóc i zaoponować.

- Uwaga, odczytam teraz tradycyjną formułę, która będzie otwierać każde spotkanie, a której autorem jest pełnoprawny członek Stowarzyszenia, pan Henry David Thoreau.

Neil otworzył książkę, którą zostawił dla niego Keating, i zaczął czytać.

- *Poszedłem do lasu, wybrałem bowiem życie z umiarem*, - Opuścił kilka następnych linijek tekstu. - *Chcę żyć pełnią życia, chcę wyssać wszystkie soki życia*.

- Popieram, popieram - wtrącił Charlie.

- *By zgromić wszystko to, co życiem nie jest* - kontynuował Neil, znowu opuszczając parę wersów. - *By nie odkryć tuż przed śmiercią, że nie umiałem żyć*.

Nastała długa cisza. Pozostali chłopcy spojrzeli na siebie pytająco, jakby nie wiedząc, co powinni robić dalej.

- Overstreet, do ślubowania! - wezwał Neil.

Knox wstał. Wziął książkę od Neila, przeglądał ją przez chwilę, po czym zaczął czytać.

- Jeśli z przekonaniem i uporem dąży się ku swoim marzeniom, osiągnie się zwycięstwo, które w zwykłym dniu nie jest dostępne. To jasne! - krzyknął i błysnął oczami.

- Na pewno zdobędę Chris!

Książkę wziął teraz Charlie.

- Nie wygłupiaj się - powiedział. - To są poważne sprawy. Chrząknął z powagą.

*Wiele cudnych jest miłości.  
Pięknych dziewic miłość szczerą,  
Przywiązanie przyjaciela,  
Niewinnego dziecka śmianie,  
Wszystkie od zarania znane.  
Lecz ta miłość najcudniejszą,  
Miłość ponad miłościami  
Większa miłość niż matczyna  
To namiętna miłość, z jaką  
Do schlanego w trupa pijaczyny  
Tuli głowę  
W trupa schlany pijaczyna.*

- Autor nieznany - Charlie wybuchnął śmiechem, podając książkę Pittsowi.

- *Tu spoczywa moja żona, niech przez wieki tu spoczywa ona, niech jej dany pokój będzie... w którym ja swe życie teraz spędzę* - Pitts zachichotał. - John Dryden, tysiąc sześćset trzydzieści jeden, tysiąc siedemset. Do licha, nigdy bym nie przypuszczał, że tamci faceci mieli w ogóle poczucie humoru - powiedział i odruchowo przekazał tomik następnemu w rzędzie, Toddowi.

Todd zamarł. Bezwiednie zacisnął dłonie na książce. Nim ktokolwiek zdołał zauważyć, Neil wyjął mu ją prędko z rąk i podał znowu Charliemu.

*Mnie miłości uczyć? Gdzie wasz rozum, mądre głowy?  
Jam jest nad mistrzami mistrz tej sztuki.  
I bóg miłości, jeśli istnieje takowy,  
Ode mnie miłości mógłby brać nauki.*

Chłopcy zaczęli wydawać z siebie głośne „achy” i „ochy”, które wnet przeszły w ro-

snący harmider.

- Przestańcie! Musimy być poważni - przywoływał ich do porządku Neil.

Po antologię sięgnął teraz Cameron.

- Uwaga, to będzie bardzo poważne - powiedział i zaczął czytać.

*Z nas rodzi się muzyka,  
Nam marzą się marzenia,  
W samotnej fali, która w dal umyka,  
W odległej ciszy wartkiego strumienia.  
Straceńcy świata i świata zbawiciele,  
Na których księżyc blade rzuca cień,  
Lecz my napędem, lecz my ruszeniem  
Świata; tak będzie po ostatni dzień.  
Piękną pieśnią nieśmiertelną  
Budujemy wielkość miast.  
A baśniową przypowieścią  
Mocarstwom damy chwały kształt.  
Jeden człowiek z marzeniami,  
Pójdzie naprzód, by koronę brać.  
Trzech, pieśni nowy dając takt,  
Imperium może zwalić gmach.  
W wiekach czasu pogrążeni,  
W pogrzebanej minioności ziemi,  
  
Szeptem zbudowaliśmy Niniwę,  
Wieżę Babel - radości okrzykiem.*

- Amen - szepnęli niektórzy chłopcy.

- Ciii... uciszyli ich pozostali.

*I burzyliśmy je, proroctwami  
O dawności świata, który nowy.  
Każdy wiek swój martwy sen posiada,  
Każdy wiek ma sen, co jeszcze się narodzi.*

Cameron skończył czytać.

- Autorem jest Arthur O'Shaughnessy, tysiąc osiemset czterdzieści cztery, tysiąc osiemset osiemdziesiąt jeden.

Chłopcy siedzieli w milczeniu. Meeks wziął książkę do ręki i zaczął wertować kartki.

- O, tu jest dobry kawałek - powiedział.

*Z głębi nocy, która mnie otula,  
Czarnej jak tunelu między biegunami mrok,  
Chcę dziękować bogom wszelkim  
Za mej duszy nieprzewyciężoną moc!*

- W. E. Henley, tysiąc osiemset czterdzieści dziewięć, tysiąc dziewięćset trzy - zakończył z powagą.

- Henley? Nie żartuj, Meeks - zakpił Pitts. - Na pewno sam to pisałeś!

- Co? - Meeks nie zrozumiał, o co chodzi. Knox zabrał mu antologię i przerzucił kilka stron.

Głębokim i namiętym głosem zaczął czytać następny wiersz, zupełnie jakby Chris stała obok niego, w samym środku groty.

*Jak cię kocham?  
Niech policzę mej miłości drogi.  
Kocham do trzewi...*

Charlie wyrwał mu książkę ze złością.

- Tobie naprawdę odbiło, Knox. Uspokój się.

Pozostali parsknęli śmiechem. Neil wziął od Daltona książkę i czytał ją przez jakiś czas po cichu.

Nieco już zziębnięci chłopcy coraz ciaśniejszym kręgiem otaczali przygasające szybko ognisko.

- Uwaga, znalazłem coś ciekawego - powiedział Neil.

*Ruszajmy przyjaciele,  
Wcale nie jest za późno,*



*by szukać świata ze snów...  
A planów mam tak wiele  
Ot, choćby przepłynąć horyzont wszere...  
potem wzdłuż...  
Nie ma już w nas tej mocy, która za dawnych lat  
umiała wstrząsać niebem, poruszyć cały świat.  
Jesteśmy tym, czym jesteśmy -  
Zły los, a może zły czas  
osłabił w sercu ogień, co łączył niegdyś nas,  
lecz wzmocnił naszą wolę i teraz dobrze wiemy,  
że trzeba szukać, szukać, szukać,  
bez względu na to, co znajdziemy\**

- To fragment „Ulisses” Tennysona - zakończył.

Chłopcy zamilkli, zaskoczeni aktorską, namiętą recytacją Neila, i tym, co Tennyson mówił o celu w życiu.

Pitts sięgnął po książkę. Przytupując do rytmu nogą, zaczął głośno czytać:

*Opasie, czarne przy bekach byki  
W winiarni czarni królowie pijani  
Kładą się, chwieją, w stół walą pięściami  
Gwarny jest ten tłum.  
Bo w beczkę, już próżną, od miotły kij bije  
A każdy w to wkłada pijacki wysilek.  
Szumny jest ten tłum,  
Bum-bum-bum... BUM! Bum-bum-bum... BUM!  
Parasol jedwabny też łapią i łup  
Po beczce okrągłej:  
Bam-bam-bam... ŁUP! Bam-bam-bam... ŁUP!  
WTEDY miałem objawienie, WTEDY miałem przywidzenie  
Już nie brało obrzydzenie, że się bawią tak szalenie.  
I UJRZAŁEM RZEKĘ KONGO POPRZEZ*

---

\* Przekład Ewy Skwary

*CZARNĄ CZERŃ PEŁZNĄCĄ  
ZŁOTYM TRAKTEM GĘSTĄ DŻUNGLE NA  
POŁOWY TNĄCĄ.*

Pitts czytał dalej, a chłopcy, porwani miarowym rytmem wiersza, ruszyli dokoła ogniska w błazeńskim tańcu, tupiąc i krzyząc w takt akcentowanych sylab. Przybierali coraz śmieszniejsze i bardziej dziwaczne pozy, stroili coraz głupsze miny, podrygiwali niezgrabnie, bili się rękami po udach i klepali po głowach. Charlie - wodzirej powoli wyprowadził ten dziwny, wirujący korowód w ciemność nocy. Swoją dziki taniec odprawiali teraz wśród wysokich sosen, rozkołysanych jesiennym wichrem.

Ognisko w grocie dogasło, zniknął padający stamtąd nikły blask. Las stał się czarny jak smoła. Chłopcy raptem oprzytomnieli. Stanęli, głośno łapiąc oddechy. Trzęśli się z zimna.

- Zbierajmy się - powiedział Charlie. - Jeszcze trochę potańczymy i będziemy musieli gnać prosto na lekcje.

Z lasu wyszli na rozległą polanę, skąd wąska droga zaprowadziła ich do Akademii Weltona. Szli wolno, zmęczonym krokiem.

- Z powrotem w domu - powiedział zjadliwie Pitts, kiedy stanęli u szkolnych wrót.

- Ten „dom” można by równie dobrze nazwać zupełnie inaczej - westchnął Neil.

Bezszelestnie przebiegli przez dziedziniec w kierunku bursy. Przy tylnym wejściu wyjęli zza framugi patyk, którym wcześniej zablokowali drzwi, i ostrożnie, na palcach, rozbiegli się do swoich pokoi.

Następnego dnia, podczas lekcji angielskiego, raz po raz któryś z uczestników nocnej wyprawy ziewał szeroko, niespokojnie przysłaniając ręką usta. Keating, chodząc między rzędami żwawym krokiem, zdawał się nie zwracać na to uwagi.

- Nie mówimy, że człowiek jest „zmęczony”. Mówimy, że jest wy-koń-czo-ny. Zamiast „smutny”, powiemy... - strzelił palcami i wskazał na jednego z uczniów.

- ...przygnębiony?

- Doskonale! - Keating usiadł zadowolony. - Ludzie wymyślili język z jednego powodu, moi drodzy. - Znowu strzelił palcami i skinął głową w kierunku Neila.

- Aby móc się porozumieć?

- Pudło! O, nie! - odparł Keating. - Aby zabiegać o względy kobiet! A w tych wysiłkach, pamiętajcie, lenistwo może wam wyjść tylko na szkodę. Zresztą, wyjdzie wam ono na szkodę również podczas pisania rozprawek z angielskiego.

Chłopcy się zaśmiali. Keating zamknął książkę, która leżała na jego biurku, podeszedł do tablicy i zdjął wiszącą na niej mapę świata. Na tablicy zapisany był jakiś cytat. Keating odczytał go głośno:

*Na bok szkoły i wyznania, za wszelką cenę  
Zezwalam przemówić Naturze,  
Bez dozoru niczyjego i z energią swą prawdziwą.*

- Jeszcze raz wuj Walt - powiedział nauczyciel. - Ale, ale... przecież nie jest nam tak łatwo ignorować szkoły i wyznania, o których mówi Whitman, tym bardziej, że jesteśmy uwarunkowani tradycją, domem i otoczeniem. W jaki sposób mamy, tak jak ujął to poeta, zezwolić przemówić prawdziwej naturze? Jak pozbyć się uprzedzeń? Myślowych nawyków? Wpływu innych osób? Otóż... jest na te pytania odpowiedź. Musimy nieustannie i uparcie poszukiwać nowego, innego punktu widzenia.

Chłopcy słuchali w skupieniu.

Nagle Keating wskoczył na swoje biurko i powiódł okiem po klasie.

- Dlaczego tu stanąłem? - zapytał.

- Żeby być wyższym? - zasugerował Charlie.

- Stanąłem tu, by przypomnieć samemu sobie, iż ciągle powinniśmy zmuszać się do innego patrzenia na świat. Stąd wszystko wygląda inaczej. Zapewniam was. Jeśli nie wierzycie, stańcie tu sami. No, proszę. Każdy po kolei. - Keating zeskoczył na podłogę.

Chłopcy wstali i nieufnie podeszli do katedry, zaintrygowani kolejnym dziwnym pomysłem nauczyciela. Nie dali się długo namawiać. Jeden po drugim zaczęli wchodzić na biurko Keatinga. Każdy stał przez chwilę, rozglądał się z zainteresowaniem, po czym zeskakiwał, robiąc miejsce następnemu. Czasami na biurko wchodziło po kilku na raz. Jedynie Todd Anderson nie ruszał się z miejsca. W tym czasie Keating cierpliwie spacerował po klasie i przyglądał się chłopcom z uśmiechem.

- Jeśli jesteście czegoś bardzo pewni - powiedział, kiedy przed biurkiem czekało na swoją kolej dwóch ostatnich uczniów - to spróbujcie pomyśleć o tym z innego punktu widzenia, nawet jeśli wiecie, że to śmieszne albo głupie. Kiedy czytacie książkę, nie bierzcie pod uwagę tylko tego, co mówi autor, weźcie pod uwagę również to, co myślicie wy. Musicie starać się odnaleźć swój własny głos, chłopcy. Im dłużej będziecie zwlekać z rozpoczęciem tych poszukiwań, tym mniej możecie liczyć na to, że będą uwieńczone sukcesem. Thoreau powiedział tak: „Większość ludzi wiezie życie w milczącej beznadziei”. Dlaczego tak

strasznie siebie zubażać? Zaryzykujcie, postawcie stopę na ziemi nieznannej.

Keating podszedł do drzwi, stanął, odwrócił się twarzą do klasy i nagle zgasił światło.

Zapalił, i znowu zgasił, i zapalił. Przez jakiś czas bawił się wyłącznikiem.

- I jeszcze coś - powiedział. - Na następną lekcję każdy z was napisze wiersz, coś absolutnie własnego. I każdy wyrecytuje swój wiersz przed całą klasą. Do zobaczenia w poniedziałek - zakończył i wyszedł.

Chłopcy siedzieli w absolutnej ciszy, zbici z tropu zachowaniem nauczyciela i zaskoczeni dziwnym zadaniem domowym. Nagle uchyliły się drzwi i pojawiła się w nich głowa Keatinga.

- Anderson, nie myśl, że nie wiem, jak śmiertelnie przeraża cię to zadanie. - Keating wyciągnął ku niemu wskazujący palec, jak gdyby śląc w jego serce twórcze tchnienie.

Chłopcy zachichotali nerwowo. Todd zmusił się do uśmiechu.

W piątki zajęcia kończyły się dość wcześnie. Po lekcji angielskiego chłopcy wybiegli z klasy, uradowani perspektywą wolnego popołudnia.

- Chodźmy na dzwonnice wypróbować naszą antenę - zaproponował Pitts Meeksowi, kiedy szli przez dziedziniec do bursy. - Radio „Wolna Ameryka” - zaśmiał się.

- Jasne! - zgodził się Meeks.

Przebiegli obok grupki małałatów, niecierpliwie czekających na przybycie listonosza. Nieco dalej, na trawiastym boisku starsi chłopcy rozgrywali mecz lacrosse'a. Z daleka widać było, jak w walce o piłkę zawzięcie wymachują raketkami. Znad brzegu jeziora dochodziły głośne okrzyki Nolana, którymi nakłaniał do większego wysiłku trenujących wioślarzy.

Knox wrzucił książki do koszyka na bagażniku swojego roweru i ruszył w objazd po kampusie. Kiedy był blisko szkolnej bramy, sprawdził ukradkiem, czy nikt go nie obserwuje, i nacisnął z całych sił na pedały. W szalonym pędzie wjechał na łękę za bramą, odnalazł wąską drogę polną i rozwijając zawrotne tempo, w kilka minut dotarł do miasteczka Welton.

Koło gimnazjum Ridgeway rozejrzał się uważnie, czy nie ma w pobliżu kogoś z Akademii. Zatrzymał się przy wejściu. Dysząc ciężko po szalonej jeździe, przypatrywał się, jak uczniowie wchodzili do trzech zaparkowanych przy ulicy autobusów. Do pierwszego cisnęli się członkowie szkolnej orkiestry dętej, ubrani w kolorowe mundurki. W drugim autobusie, głośno pokrzykując i przepychając się jeden przez drugiego, miejsca zajmowali rośli futboliści w wypchanych ochraniaczach strojach do gry. Przed trzecim autobusem stały grupki chichoczących i rozśpiewanych dziewcząt. Knox natychmiast dostrzegł Chris Noel.

Oparł się o drucianą siatkę i wpatrywał w dziewczynę z uwielbieniem. Widział, jak podbiega do dźwigającego pod pachą futbolowy ekwipunek Cheta i całuje go prosto w usta.

Widział, jak Chet przyciąga ją do siebie i obejmuje, a ona śmieje się wesoło. Patrzył, jak po chwili Chris wyrywa się z objęć Cheta i biegnie z powrotem do swojego autobusu.

Knox wsiadł na rower i ruszył powoli w kierunku Akademii Weltona. Od czasu obiadu u Danburrych nieustannie marzył, by jeszcze raz ujrzeć Chris Noel. Wyobrażał sobie to spotkanie na różne sposoby, ale nigdy tak, że jest przy niej Chet i że oboje tulą się do siebie. Knox zaczął się poważnie zastanawiać, czy naprawdę mógłby znaleźć słowa, po których Chris zemdlałaby w jego ramionach.

Późnym popołudniem Todd siedział na swoim łóżku nad rozłożonym na pościeli zeszytem i pieczołowicie coś w nim pisał. Naraz skreślił wszystko, wyrwał kartkę, zgniótł ją i wrzucił do kosza. Poirytowany, ukrył twarz w dłoniach. Do pokoju wszedł Neil, cisnął książki na łóżko i krzyknął podekscytowany:

- Mam! Znalazłem!

- Co? - zapytał Todd.

- To, czym chcę się zająć! I to od zaraz. Coś, co czuję, że siedzi we mnie od dawna. - Wręczył Toddowi plik spiętych kartek.

- „Sen nocy letniej” - przeczytał Todd. - Co to jest?

- Sztuka teatralna, baranie.

- Tyle to wiem - zachnął się Todd. - Ale co to ma wspólnego z tobą?

- Będą ją wystawiać w Henley Hali. Spójrz tutaj: „Nabór otwarty”.

- No i? - zapytał Todd.

- No i będę grał! - wykrzyknął Neil, wskazując na łóżko. - Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze chciałem spróbować gry w teatrze. Latem zamierzałem nawet zgłosić się na przesłuchania teatralne, ale oczywiście ojciec mi nie pozwolił.

- Myślisz, że właśnie teraz ci pozwoli? - Todd uniósł brwi.

- Do diabła, jasne, że nie. Ale nie musi. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że po raz pierwszy w życiu wiem, czego chcę. I po raz pierwszy w życiu będę robił to, czego naprawdę chcę. Bez względu na to, czy mój ojciec wyrazi zgodę! *Carpe diem*, Todd. Chwytaj dzień!

Neil wziął kartki do ręki i zaczął głośno czytać. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. Rozemocjonowany podniósł w górę zaciśniętą pięść.

- Neil, ale jeśli twój ojciec nie pozwoli ci zagrać? Jak chcesz to załatwić? - naciskał Todd.

- Najpierw muszę dostać tę rolę. Ojcem będę się martwił później.

- Chyba cię zabije, jak się dowie, że bierzesz udział w próbach.

- Jeśli idzie o mnie - odparł Neil - wcale mi nie zależy na tym, żeby się dowiedział.

- Daj spokój, tylko tak mówisz. Sam wiesz, że to niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - powiedział Neil z uśmiechem.

- Dlaczego go przedtem nie zapytasz? Może ci pozwoli? - zasugerował Todd.

- Chyba ci odbiło - parsknął Neil. - Nie powiem mu, nie narażę się na odmowę, i przynajmniej nie będę mu nieposłuszny.

- Ale jeżeli wcześniej się nie zgodził, to teraz może... - zaczął znowu Todd.

- Czyją stronę trzymasz, co?! Jeszcze nie wiem, czy w ogóle dostanę jakąś rolę, a ty nie pozwalasz mi nawet nacieszyć się tym pomysłem?

- Przepraszam - powiedział Todd i zabrał się znowu do pracy.

Neil wrócił do czytania sztuki.

- A tak na marginesie - powiedział - dzisiaj jest spotkanie. Przyjdiesz?

- Chyba tak - skrzywił się Todd.

Neil odłożył tekst.

- Ciebie w ogóle nie interesuje, co Keating ma nam do powiedzenia, prawda? - zapytał z niedowierzaniem.

- O co ci chodzi? - bronił się Todd.

- Uczestnictwo w „Stowarzyszeniu” oznacza tylko tyle, że chcemy dać się wciągnąć zdarzeniom. A ty robisz wrażenie, jakby cię wciągnęła kloaczna dziura.

- Chcesz, żebym odszedł, tak? Do tego zmierzasz? - rzucił się Todd.

- Nie - odparł spokojnie Neil. - Chcę, żebyś został. Ale to znaczy, że będziesz musiał coś robić. Coś więcej, niż tylko mówić, że jesteś z nami.

Todd odwrócił się do niego ze złością.

- Słuchaj, Neil, jestem ci wdzięczny, że dbasz o mnie jak o małe dziecko, ale ja jestem zupełnie inny niż ty. Inni słuchają cię, kiedy mówisz, idą za tobą. Ja taki nie jestem.

- Dlaczego? A nie sądzisz, że mógłbyś taki być? - Neil nie dawał za wygraną.

- Nie! - krzyknął Todd. - Och, nie wiem. I zapewne nigdy nie będę wiedział. Po prostu nic już z tym nie można zrobić. Jestem, jaki jestem, i kropka. Jasne? Więc odczep się ode mnie. Zupełnie dobrze sam daję sobie radę, w porządku?

- Nie... - powiedział Neil.

- Nie? - Todd spojrzał na niego zaskoczony. - Co to znaczy nie?

Neil wzruszył ramionami.

- Nie - powtórzył. - Nie odczepię się.

Znowu zajął się sztuką. Todd siedział i patrzył na niego długo.

- Przyjdę na spotkanie - powiedział w końcu.

## ROZDZIAŁ VIII

Zebranie „Stowarzyszenia umarłych poetów” w grocie za strumykiem koło wodospadu odbyło się tego samego popołudnia, przed zajęciami piłki nożnej. Charlie, Knox, Pitts, Neil, Meeks i Cameron chodzili po swoim podziemnym klubie, z miną badaczy zaglądając ciekawie w szczeliny i rzeźbiąc na ścianach swoje inicjały. Kiedy w końcu dotarł do nich spóźniony Todd, spotkanie można było rozpocząć.

- „Poszedłem do lasu, wybrałem bowiem życie z umiarem” - zaintonował Neil. - „Chcę żyć pełnią życia, chcę wyssać wszystkie soki życia”.

- O rany! - krzyknął Knox - Chciałbym wyssać wszystkie soki z Chris. Kocham ją do szaleństwa! Chłopaki, ja chyba zaraz umrę!

- To by się dobrze składało. Wiesz chyba, co by powiedział umarły poeta - zaśmiał się Cameron. - „Rwijcie pąki swoich róż, póki jeszcze możecie...”

- Ale ona kocha się w tym niedorozwiniętym chłystku, półgłówku, mięśniaku, matole, w synu najlepszego przyjaciela mojego ojca! Ciekawe, co na to powiedziałby umarły poeta! - Knox odszedł na bok, nie kryjąc swojej rozpacz.

Neil wstał i podszedł do wyjścia.

- Przepraszam, muszę iść na przesłuchania teatralne - obwieścił przejętym głosem. - Życzcie mi szczęścia.

- Trzymaj się, Neil! - krzyknęli jednocześnie Meeks, Pitts i Cameron. Todd w milczeniu patrzył, jak Neil wychodzi z grotu.

- Czuję się, jakbym przez całe życie był trupem - powiedział Charlie smutnym głosem. - Przez całe lata, ani razu nie zaryzykowałem. Nie mam pojęcia, kim jestem i co chciałbym robić. Neil wie, że chce grać w teatrze. Knox wie, że chce mieć Chris.

- Chcę?! Ja ją muszę mieć! - jęknął Knox.

- Słuchaj no, Meeks - zagadnął Charlie - ty tu jesteś od myślenia. Co umarły poeta miałby do powiedzenia na mój temat?

- Romantycy byli zapalonymi eksperymentatorami, Charles. Babrali się w dziesiątkach spraw, zanim coś naprawdę ich zajęło. A niektórym zresztą nigdy się to nie udało - odpowiedział Meeks.

- Nie poeksperymentujesz sobie za dużo w Akademii Weltona, Meeks - rzucił z przekąsem Cameron.

Podczas gdy chłopcy rozprawiali przez chwilę nad słusznością tego spostrzeżenia,

Charlie chodził przygnębiony z kąta w kąt. Nagle zatrzymał się i uniósł do góry rękę. Na jego twarzy malował się jasny uśmiech.

- Niniejszym obwieszczam otwarcie „Groty Charliego Daltona dla zapalonych eksperymentatorów” - powiedział tryumfalnie. - W przyszłości, każdy, kto zażyczy sobie wejść do groty, będzie musiał mieć moje pozwolenie.

- Jedną chwilę, Charlie - zaprotestował Pitts. - Jaskinia należy do nas wszystkich, a twoja „grota eksperymentatorów” powinna być własnością Stowarzyszenia.

- Powinna, ale to ja ją znalazłem, więc ja obejmuję ją teraz w posiadanie. Carpe grotam, chłopaki. Chwytaj grootę! - odparował Charlie, śmiejąc się głośno.

- Charlie. Jesteś niepowtarzalny - stwierdził filozoficznie Pitts, a inni spojrzeli na siebie, kręcąc głowami.

Zdobyli grootę. Znaleźli w niej dla siebie dom, daleko od Akademii Weltona, daleko od rodziców, od nauczycieli i daleko od innych kolegów. Znaleźli miejsce, w którym mogli stać się takimi, jakimi nie byli wcześniej nawet w marzeniach. „Stowarzyszenie umarłych poetów” żyło i rozkwitało, szykowało się, by chwycić dzień.

Niechętnie wracali do szkoły. Zdążyli na sam początek zajęć.

- Nie mogę, chłopaki, patrzcie, kto prowadzi piłkę nożną - zauważył nagle Pitts.

Do boiska zbliżał się pan Keating. W jednej ręce taszczył siatkę z kilkoma piłkami, a w drugiej niewielką walizeczkę.

- Możemy zaczynać, chłopcy. Kto jest dyżurnym? - zapytał, gdy znalazł się przy nich.

- Ja, proszę pana - odezwał się któryś z uczniów i wręczył nauczycielowi listę obecności.

Keating wziął od niego trzystronicową listę z nazwiskami i przejrzał ją uważnie.

- Proszę odpowiadać: „obecny”. Uwaga... Chapman?

- Obecny.

- Perry?

Nikt nie odpowiadał.

- Neil Perry?!

- Miał umówioną wizytę u dentysty, proszę pana - skłamał Charlie.

- Taak... Watson? - wywoływał dalej Keating. Nikt nie odpowiadał. - Czy Richard Watson również jest nieobecny?

- Watson zachorował, proszę pana - odezwał się ktoś z tyłu.

- Chory, mówicie. Chyba powinienem dać Watsonowi naganę. Ale jeżeli dam naganę Watsonowi, to będę musiał dać ją również Perry emu... a ja lubię Perry ego.



Złożył listę obecności i schował do kieszeni. Chłopcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Słuchajcie, jeśli ktoś nie chce brać udziału w tych zajęciach, to nie musi. Piłkarze, proszę za mną. Reszta ma czas wolny.

Keating odmaszerował na boisko, zabierając ze sobą piłki i walizeczkę. Zdumieni niecodzienną propozycją nauczyciela, chłopcy stali i rozmawiali przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Olbrzymia większość ruszyła truchtem na boisko.

- Siadajcie - poinstruował Keating, gdy stanęli na środku murawy. - Entuzjaści jakiejś jednej dyscypliny zawsze będą z uporem twierdzić, że jest ona najlepsza i najciekawsza ze wszystkich. Osobiście uważam, że najistotniejszą rzeczą w sporcie jest to, że druga istota ludzka zmusza mnie do gwałtownego wysiłku, bym nie ustąpił pola. Platon, pewien podobnie jak ja utalentowany człowiek, powiedział bardzo dawno temu: „Wyłącznie współzawodnictwo uczyniło ze mnie poetę, sofistę i oratora”. A więc, kochani, uwaga, każdy otrzyma teraz ode mnie karteczkę i ustawi się w kolejce do strzału na bramkę.

Zaciekawieni chłopcy, odebrali od niego małe, zapisane kartki papieru i ustawili się w długim szeregu, kilkanaście metrów przed pustą bramką. Keating wziął piłkę i ustawił ją przed pierwszym z uczniów. Na końcu stał Todd Anderson, patrząc obojętnie, jak nauczyciel wydaje chłopcom polecenia.

- Wiecie już, co robić, zatem... uwaga, START! - krzyknął Keating w chwili, kiedy nie opodal boiska przechodził George McAllister.

Łacinnik zatrzymał się zaciekawiony, i osłupiał, widząc, jak pierwszy z uczniów zbliżył się do piłki i - zamiast ją kopnąć - czyta coś głośno z trzymanej w ręku kartki.

- „...by stawić czoła miażdżącej przewadze wroga nieustraszonego!” - Chłopiec rozpędził się i kopnął mocno piłkę, posyłając ją wysoko nad poprzeczką.

- Nic nie szkodzi, Johnson - powiedział Keating, ustawiając następną piłkę. - Liczy się wysiłek.

Sięgnął teraz po walizeczkę, otworzył ją i ostrożnie wyjął przenośny, mały gramofon. Kiedy następny w kolejce Knox szykował się do strzału, na boisku rozbrzmiały podniosłe tony muzyki klasycznej, której akompaniowały hałaśliwe trzaski starej płyty.

- Rytm, chłopcy! - Keating usiłował przekrzyczeć muzykę. - Rytm jest najważniejszy!

Knox wyrecytował głośno:

- „Samemu stanąć z wrogiem oko w oko, by poznać, na ile twoje męstwo stać!” - Rozpędził się i rycząc chrapliwie: „Cheet!” kopnął z całej siły.

Następny był Meeks.

- „By spojrzeć w oczy walce, czeluściom lochu i torturom, sromocie codziennego dnia!” - krzyknął i kopnął piłkę celnie, idealnie między słupki.

- „By naprawdę stać się bogiem!” - krzyknął następny w kolejce Charlie, uderzając z rozmachem i precyzją.

McAllister potrząsnął zdumiony głową, uśmiechnął się pod nosem i odszedł w zamysleniu powolnym krokiem.

Czytając swoje dwuwiersze, chłopcy kopali piłkę aż do zmierzchu.

- Dokończymy następnym razem - zawyrokował Keating, kiedy było już ciemno. - Dobra robota.

Todd odetchnął z ulgą i pierwszy ruszył w kierunku bursy.

- Niech się pan nie zraża, panie Anderson - zawołał za nim Keating. - I ty będziesz kiedyś miał swój dzień.

Todd poczuł, że się czerwieni. Kiedy dobiegł do budynku, w przypływie złości trzasnął za sobą drzwiami. Wpadł do pokoju i rzucił się na łóżko.

- Gównu! - krzyknął.

Usiadł po chwili i spojrzał na nie dokończone zdania wiersza, który powinien napisać na następną lekcję angielskiego. Wziął do ręki ołówek i dopisał jedną linijkę. Kiedy przy następnym wersie, wciąż rozzłoszczony, zbyt mocno nacisnął ołówek, złamał się grafit. Todd wstał, przeszedł się po pokoju, westchnął i wyjął z szuflady drugi ołówek. Wrócił do pisania.

- Mam! - Todd usłyszał za drzwiami krzyk Neila. - Mam rolę! Zagram Puka! - Neil otworzył z hukiem drzwi i spojrzał na Todda. - Hej! Będę Pukiem!

- Pukaj się, Puku, aż do rozpuku! - krzyknął ktoś na korytarzu.

Zaraz za Neilem do pokoju wpadł Charlie z chłopakami. Zapanował taki gwar, że jeden drugiego nie mógł zrozumieć.

- Moje gratulacje! Doskonale, Neil! Mamy artystę! - przekrzykiwali się.

- Dziękuję, dziękuję - opędzał się od nich wzruszony. - Ale zmykajcie stąd teraz, mam przed sobą mnóstwo roboty.

Kiedy chłopcy zaczęli się zbierać do wyjścia, Neil wyjął spod łóżka maszynę do pisania, ustawił ją pieczołowicie na biurku i wkręcił kartkę papieru.

- Jak chcesz to załatwić, Neil? - zapytał Todd, gdy zostali sami.

- Ćśś! Właśnie mam zamiar wszystkim się zająć - wyjaśnił rozemocjonowany Neil. - Muszę tylko przedstawić im pozwolenie na udział w spektaklu i sprawa będzie załatwiona.

- Twoje własne pozwolenie? - zapytał Todd.

- Zwariowałeś? No, nie... od ojca i od Nolana.

- Neil, chyba nie zamierzasz... - Todd się wystraszył.

- Och, nie przeszkadzaj mi, muszę się zastanowić.

Neil mruczał coś pod nosem, wpatrując się z namysłem w sufit. Chwilę potem, śmiejąc się do siebie, zaczął stukać na maszynie. Przez jakiś czas Todd obserwował go z niedowierzaniem, potem pokręcił głową z dezaprobatą i skupił się nad swoim wierszem.

Na następnej lekcji angielskiego pierwszym, który odczytywał przed klasą wiersz swojego autorstwa, był Knox Overstreet.

*Słodycz widzę w jej uśmiechu,  
A w jej oczach ciepły blask.  
Lecz me życie jest u kresu,  
I odchodzę wiedząc tylko,  
Że ona...*

Knox urwał w połowie zdania. Opuścił ręce, w których trzymał zeszyt.

- Przepraszam, panie Keating. To kompletne głupoty - powiedział i wrócił na swoje miejsce.

- Wcale nie głupoty, Overstreet. Włożyłeś w to niemały wysiłek - powiedział poważnie Keating i odwrócił się do klasy. - Knox pokazał nam coś bardzo istotnego, nie tylko dla pisania poezji, ale dla każdego wysiłku, który z jakiegoś powodu podejmujemy. Pokazał, że musimy zmierzyć się z rzeczami, które są w naszym życiu ważne, z miłością, z pięknem, z prawdą, ze sprawiedliwością... - Przeszedł na środek klasy.

- Poezji nie można ograniczać jedynie do tworzywa, jakim jest słowo. Poezję możemy znaleźć w muzyce, w fotografii, nawet w posiłku, przygotowanym w wyrafinowany sposób. We wszystkim, w czym uda nam się odkryć coś nowego, w czym znajdziemy jakieś objawienie. Coś takiego może zdarzyć się w zwykłym dniu, samo w sobie zwykłym nie będąc. Oczywiście, piszcie o niebie, o uśmiechu dziewczyny, ale jeśli to robicie, niech wasza poezja wyczaruje sąd ostateczny, albo zbawienie, albo coś jeszcze bardziej nadzwyczajnego. Nieważne co, byle wzruszało, oczarowywało, przenikało do głębi, budziło dreszcze! I żeby sprawiało, że poczujemy się nieśmiertelni.

- Kapitanie mój! Kapitanie! - zawołał Charlie. - Czy w trygonometrii również znajdziemy poezję?

Pytanie to serdecznie rozbawiło kilku chłopców.

- Oczywiście, panie Dalton. W matematyce jest... elegancja. Naturalnie, ludzie

umarliby z głodu, gdyby każdy zajmował się wyłącznie poezją. Ale poezja w życiu musi być obecna i musimy zatrzymać się na tę jedną sekundę, by móc ją dostrzec, nawet w najprostszych i najbardziej banalnych zdarzeniach. W przeciwnym razie zmarnujemy wiele dobra, którym życie nas obdarowało.

W klasie zapanowała cisza.

- Proszę, kto następny? Śmiało, i tak każdy z was będzie czytał.

Keating rozejrzył się, ale chętnych nie było. Podszedł do Andersona i uśmiechnął się szeroko.

- Spójrzcie na Andersona. Cierpi, jakby był w agonii. Wstań, rycerzu, zaraz skończy się twoja rozpacz.

Wszyscy spojrzeli na Todda, który wstał niepewnie i wolnym krokiem, z miną skazańca, który wdrapuje się na szafot, wyszedł na środek sali.

- Todd, czy przygotowałeś jakiś wiersz? - zapytał Keating.

Todd zaprzeczył ruchem głowy.

- Pan Anderson jest święcie przekonany, że to, co sobą reprezentuje, nie jest warte funta kłaków, i wszystkich innych wprawia tylko w zakłopotanie. Prawda, Todd? Czy nie tego właśnie się obawiasz?

Todd kiwnął nerwowo głową.

- W takim razie dzisiaj dowiesz się, że to nieprawda, i że jesteś wart wcale dużo. Keating podszedł szybkim krokiem do tablicy i wypisał na niej wielkimi literami: „WYKRZYKUJĘ SWOJE BARBARZYŃSKIE JUP! NAD DACHAMI ŚWIATA”. Walt Whitman.

Odwrócił się twarzą do klasy.

- Nie wtajemniczonym wyjaśniam, że „jup!” to głośny okrzyk. Todd, bądź tak dobry i pokaż wszystkim, jak owo barbarzyńskie „jup!” brzmi?

- Jup? - powtórzył cicho Todd.

- Ale to ma być barbarzyńskie „jup!”

Keating stał przez chwilę nieruchomo i nagle rzucił się do Todda, wrzeszcząc mu nad głową:

- Krzycz! Na miłość boską! Krzycz, chłopcze!

- Jup! - powiedział Todd wystraszonym głosem.

- Jeszcze raz! Głośniej!

- JUP!

- Jeszcze głośniej!

- JUUOOHP!!!

- Doskonale! Bardzo dobrze, Anderson. Jednak masz coś w sobie z barbarzyńcy.

Keating klasnął w ręce. Chłopcy zaczęli bić brawo, a spięty i zaczerwieniony Todd trochę się odprężył.

- Todd, nad drzwiami klasy wisi portret Whitmana. Kogo przypomina ci ten człowiek? Tylko odpowiedz prędko, bez namysłu.

- Szaleńca - rzucił Todd.

- Szaleńca. Jakiego rodzaju szaleńca? Nie zastanawiaj się! Odpowiadaj od razu!

- No... wariata, zwariowanego szaleńca.

- Szukaj w wyobraźni! - naciskał Keating. - Pierwsza rzecz, która przychodzi ci do głowy, nawet jeśli będzie bez sensu.

- ... przeпоcony, bezzębny szaleniec.

- Ha! Oto przemawia poeta - triumfował Keating.

- Zamknij oczy i powiedz, co widzisz. TERAZ! - wrzasnął mu w ucho.

- Za... zamykam oczy. Jego obraz krąży gdzieś obok mnie - powiedział Todd i zawahał się.

- ... przeпоcony, bezzębny szaleniec - przypomniał mu Keating.

- Przeпоcony, bezzębny szaleniec...

- Dalej! - krzyczał Keating.

- Draży wzrokiem mój mózg.

- Doskonale! Pozwól mu działać. Wlej w niego życie!

- Jego ręce dosięgają mnie i łapią za gardło...

- Dalej, dalej... - ponaglał Keating.

- Przez cały czas coś bełkocze...

- Co bełkocze?

- Prawdę... - krzyknął Todd. - Prawda jest jak przykrótka koc, pod którym marzną stopy!

Kilku chłopców w klasie wybuchnęło śmiechem. Todd zbladł ze zdenerwowania.

- Nie zwracaj na nich uwagi! - wołał Keating. - Co z tym kocem? Co z kocem?!

Todd otworzył oczy i zaczął mówić, spoglądając wyzywająco na kolegów.

- Naciągasz go, rozciągasz, zmieniasz i przekładasz, ale nigdy nie przykryje żadnego z nas. - Przerwał.

- Nie przerywaj - nakazał Keating.

- Wściekasz się... i bijesz w koc... i kopiesz, ale ciągle jest go mało...

- Nie przerywaj! - krzyknął Keating.

- Kiedy zaczynamy płakać w złości - Todd z trudem, ale dzielnie wydobywał dalsze słowa - kiedy bliska śmierć zagości, koc przykrywa tylko głowę, a ty płaczesz, krzyczysz, kwilisz, w końcu tracisz myśl i mowę!

Todd przerwał i stał przez chwilę w milczeniu. Keating podszedł do niego.

- A widzisz, jednak czary istnieją. Nie zapominaj o tym.

Pierwszy zaczął klaskać Neil, później dołączyli inni. Rozległy się pohukiwania i gwizdy pełne aprobaty. Todd nabrał głęboko w płuca powietrza i po raz pierwszy od czasu, gdy przyszedł do tej szkoły, uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

- Dziękuję, proszę pana - powiedział i wrócił na miejsce.

Po zakończeniu lekcji Neil podszedł do Todda i gorąco uściśnął mu dłoń.

- Wiedziałem, że ci się uda - uśmiechnął się. - Że to dla ciebie małe piwo. Doskonała robota. Do zobaczenia po południu w grocie.

- Dzięki, Neil - Todd nie przestawał się uśmiechać. - Do zobaczenia w grocie.

Tego samego dnia po południu Neil przedzierał się przez las w kierunku jaskini, niosąc stary, podarty abażur.

- Przepraszam za spóźnienie - wy dyszał, gdy znalazł się już w środku.

Wszyscy pozostali kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” kucali półkołem wokół Charliego, który w milczeniu siedział po turecku z zamkniętymi oczami i trzymał w rękach saksofon.

- Hej, patrzcie, co przyniosłem! - zawołał Neil.

- Co to jest? - zapytał Meeks.

- Widzisz, jak by ci to wyjaśnić, Meeks - zakpił Pitts - to jest abażur.

Neil rozwinął sznurek oplatający abażur i odsłonił małą statuetkę.

- To bożek jaskini - uśmiechnął się szeroko.

- Widzisz, jak by ci to wyjaśnić, Pitts... - teraz mówił kpiąco Meeks - to jest bożek jaskini.

Neil postawił statuetkę na ziemi. Z jej głowy wystawał mały pręcik, na który Neil nabił ostrożnie świeczkę. Zapalił knot. Nikły płomyk oświetlił czerwono-niebieskim blaskiem małego dobosza. Zobaczyli teraz wyraźnie jego popękaną, wciąż jednak pełną doboszowej powagi twarzyczkę. Todd, najwyraźniej ośmielony i ożywiony po swoim poetyckim sukcesie, nałożył sobie abażur na głowę.

Charlie chrząknął głośno i znacząco. Chłopcy zwrócili się w jego stronę.

- Panowie - zaczął. - Przed wami Charles Dalton i jego „Poemuzja”.

Zadał w saksofon, wydobywając z niego zgrzytliwe dźwięki. Przerwał nagle, i jak w transie zaczął mówić:

- Śmianie, łkanie, much łapanie, ogryzanie, bełkotanie, trzeba więcej, więcej robić, trzeba więcej być...

Znowu zagrał, i znowu zaczął mówić, szybciej i głośniej niż poprzednio.

- Krzyk chaosu, sen chaosu, wrzask i lot podniebny, trzeba więcej być! Trzeba więcej być!...

Znowu podniósł saksofon do ust i zagrał: prostą, ale zapierającą dech w piersiach melodię. W grocie zrobiło się cicho. Dalton nigdy nie mówił, że umie tak grać! Charlie stopił się z ciepłymi, subtelnymi dźwiękami, i zakończył długą, porywającą nutą.

Chłopcy zaniemówili. Pod sklepieniem groty ciągle jeszcze brzmiało delikatne, zamierające echo.

- Rany, Charlie, to było genialne! - odezwał się wreszcie Neil. - Gdzie nauczyłeś się tak grać na saksofonie?

- Moi starzy zmuszali mnie do klarnetu, ale ja nie znoszę klarnetu - odpowiedział Charlie. - Saksofon ma w sobie więcej... dźwięku - dodał, zabawnie naśladowując brytyjski akcent.

Z kręgu podniósł się nagle Knox, odszedł pod ścianę i załkał, zrozpaczony:

- Ja już dłużej tego nie zniosę! Jeśli nie będę miał Chris, zabiję się! Muszę się z nią zobaczyć!

- Uspokój się, Knox, nie możesz się tak tym przejmować - powiedział Charlie.

- Całe życie niczym się nie przejmowałem! Całe życie byłem spokojny! Jeśli zaraz czegoś nie zrobię, to zginę!

- Hej, dokąd idziesz? - zawołał Neil, widząc, jak Knox zmierza do wyjścia.

- Zatelefonuję do niej - odkrzyknął Knox, wybiegając z groty.

Zebranie „Stowarzyszenia umarłych poetów” niespodziewanie zostało przerwane, ponieważ wszyscy zerwali się z miejsc, wypadli z groty i pognali za Overstreetem. Facet mógł przecież wykorkować, gdy usłyszy w słuchawce głos swojej ukochanej. Kandydaci „Stowarzyszenia” czuli się w obowiązku zapobiec temu nieszczęściu.

Knox stał w korytarzu, przy publicznym telefonie.

- Muszę to zrobić, muszę - powtarzał, sięgając po słuchawkę.

Kiedy drżącą ręką wykręcał numer Chris, chłopcy otoczyli go kołem, gotowi w każdej chwili przystąpić do akcji reanimacyjnej.

- Halo? - Knox usłyszał głos Chris. Przerażony, odwiesił słuchawkę.

- Ona mnie znienawidzi! Danburry'owie mnie znienawidzą! Mój ojciec mnie zabije!

Spojrzał na twarze kolegów, usiłując wyczytać z nich jakąś radę. Nikt nie odezwał się słowem. Knox poczuł, że jest przyparty do muru.

- Dobra. Raz kozie śmierć. Macie rację, carpe diem! Niech tam, nawet gdybym miał przez to zginąć!

Podniósł słuchawkę i po raz drugi wykręcił numer.

- Halo? - usłyszał jej głos.

- Halo, Chris? Tu mówi Knox Overstreet - przedstawił się.

- Knox... ach tak, to ty, Knox. Fajnie, że dzwonisz.

- Naprawdę? - przysłonił ręką słuchawkę i szepnął do chłopców: „Mówi, że fajnie, że dzwonię!”

- Właściwie sama chciałam do ciebie zatelefonować - mówiła dalej Chris. - Ale nie znam twojego numeru. Rodzice Cheta wyjeżdżają na weekend, więc Chet urządza przyjęcie. Nie miałbyś ochoty wpaść?

- Hmm, jasne! - Knox promieniał.

- Chet utrzymuje to w tajemnicy przed rodzicami, więc nikomu nic nie mów, dobrze? Ale jeśli chcesz, możesz kogoś przyprowadzić.

- Będę na pewno - zapewnił podniecony Knox. - Dom Danburrych. Piątek wieczór. Dzięki, Chris.

Powiesił słuchawkę na widelki, powiódł oczami po twarzach kolegów, po czym wydał z siebie dziki okrzyk radości.

- JJUUUOOOHHHP!!!

Uwierzylibyście w to? Ona chciała do mnie dzwonić! zaproponowała, żebym poszedł z nią na przyjęcie!

- Do Danburrych - stwierdził sucho Charlie.

- Tak.

- No i? - zapytał Charlie. - Co „no i”?

- No i sądzisz, Knox, że ona chce z tobą iść na to przyjęcie?

- Do licha, jasne, że nie. Ona tylko tam będzie. Zresztą, nie o to chodzi. Wcale nie oto!

- A o co? - naciskał go Charlie.

- Chodzi o to, że myślała o mnie!

- Aha.. - Charlie pokręcił głową.

- Spotkałem ją tylko raz w życiu, a ona już o mnie myśli. - Knox wyskoczył z radości



w górę. - Niech mnie kule biją, TO na pewno się stanie. Ona będzie moja!

Jak szalony pobiegł korytarzem, ledwie dotykając stopami podłogi. Jego przyjaciele spoglądali po sobie z powątpiewaniem i kręcili nosami.

- Kto wie... - rzucił wreszcie Charlie.

- Byleby mu się nic złego nie przytrafiło - powiedział Neil.

## ROZDZIAŁ IX

Neil pędził na rowerze przez rozległy rynek miasta, śpiesząc się na próbę w Henley Hali. Minął budynek władz miejskich, rząd sklepików i skręcił w małą, spokojną ulicę Vermont, która zawiodła go przed biały gmach szkoły Henley Hall. Przejechał przez szeroką bramę i zatrzymał się przed wejściem do budynku. Zeskoczył szybko z siodełka, zatrzasnął na kole kłódkę i wbiegł do środka. Kiedy pojawił się w sali, reżyserka zaczęła ponaglać go niecierpliwymi gestami.

- Pośpiesz się, Neil. Bez Puka nie możemy dalej grać.

Neil uśmiechnął się i zwinnie wskoczył na scenę. Wziął z rąk garderobianej metalową pałeczkę, zakończoną główką w czapce błazna. Kaduceusz Puka.

*Dopiero troje. Przybądź czwarta skoro,  
Dwoje z płci każdej, a będzie ich czworo.  
Otóż i ona, zła i smutna idzie.  
Niecne twe figle, złośliwy Kupidzie,  
Gdy rozum biednym niewiastom zabiorą\**

Puk spojrzał ku bocznemu wejściu, gdzie miała się teraz pojawić oszalała Hermia. Ginny Danburry, która grała tę rolę, weszła na czworakach, wodząc dookoła obłąkanym wzrokiem.

Zanim Hermia zaczęła swoją kwestię, reżyserka, miła, jasnowłosa nauczycielka w średnim wieku zwróciła się do Neila.

- Bardzo dobrze, Neil - pochwaliła. - Kiedy grasz, mam wrażenie, że twój Puk wie, o co chodzi. Dobrze zapanowałaś nad tą postacią. Pamiętaj tylko, że Pukowi wszystko sprawia uciechę.

Neil pokiwał głową ze zrozumieniem.

Niecne twe figle, złośliwy Kupidzie, Gdy rozum biednym niewiastom zabiorą - powiedział, uśmiechając się przy tym tak figlarnie, jakby naprawdę był leśnym chochlikiem.

- Doskonale - reżyserka zaśmiała się. - Proszę, Ginny! Jedziemy dalej.

Ginny powtórzyła wejście.

---

\* Wszystkie fragmenty „Snu nocy letniej” Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Koźmiana

*Biedna jak nigdy, strudzona niezmiernie,  
Przemokła rosą, odarta przez ciernie,  
Już iść nie mogę, sił mi ciało skąpi.  
Dłużej już chęciom nogi me nie starczą.*

Zajęcia trwały długo. Aktorzy kilkakrotnie powtarzali sceny i z uwagą słuchali wskazówek reżyserki, a ona, gestykując żywo, pokazywała im dokładnie, w którym miejscu mają stanąć i kiedy zacząć mówić. Neil czuł się na scenie wyśmianicie.

- Do zobaczenia jutro - pożegnał się, gdy próba dobiegła końca.

Na dworze było chłodno, zapadał zmierzch. Mimo zimna Neil czuł, jak płoną mu policzki.

Wsiadł na rower i ruszył powoli w kierunku Akademii. Był szczęśliwy. Przez całą drogę powtarzał głośno tekst roli Puka, choć doskonale znał go już na pamięć.

W pobliżu Akademii rozejrzał się dookoła, nie chcąc, by ktoś go zauważył. Szybko przejechał przez dziedziniec i zatrzymał się przy bursie. Postawił rower na stojaku przy wejściu i wtedy zauważył Todda, który siedział w bezruchu na kamiennym murku, skulony, ze spuszczoną głową.

- Todd? - zawołał Neil niepewnie, podchodząc bliżej.

Todd miał na sobie tylko koszulę. Musiał tu siedzieć już od dłuższego czasu, bo trząsał się z zimna.

- Co się stało? - zapytał Neil. Todd nie odpowiadał.

- Todd, powiedz, co się stało - nalegał Neil, siadając obok. - Zimno jak cholera. Jak możesz tu wytrzymać w samej koszuli?

- Dzisiaj są moje urodziny - powiedział Todd ponuro.

- Naprawdę? - zdziwił się Neil. - Do licha, dlaczego nic nie powiedziałeś? Wszystkiego najlepszego! Dostałeś coś od rodziców?

Todd milczał. Słysząc było tylko głośne szczękanie jego zębów. Po chwili wskazał Neilowi niewielkie pudełko. Kiedy Neil je otworzył, zobaczył zestaw przyborów na biurko: długopis, ołówek, gumka... taki sam, jaki Todd miał u siebie w pokoju. Z takimi samymi inicjałami.

- To twój zestaw na biurko - stwierdził mało odkrywczco. - Nic nie rozumiem.

- Ten, który mam w pokoju, dostałem od nich na urodziny w ubiegłym roku - zatkał Todd. - Zapomnieli o tym.

- Och... - westchnął cicho Neil, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Och... - rzucił drwiąco Todd.

- Wiesz, może myśleli, że potrzebujesz drugi, nowszy... - powiedział Neil po długiej chwili niezręcznego milczenia. - Albo myśleli, że... - urwał w pół słowa.

- Jeżeli oni w ogóle o kimś myślą, to najwyżej o moim bracie - rzucił Todd ze złością.  
- Jego urodziny zawsze są okazją do wielkich przyjęć. O moich się po prostu nie pamięta.

Todd spojrział na zestaw przyborów.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to - dodał - że nawet ten pierwszy mi się nie podobał.

- Ach, Todd, wiesz, wydaje mi się, że ty w ogóle nie doceniasz jego wartości - powiedział nagle Neil lekkim tonem, usiłując zmienić ponury nastrój.

- Co?

- No wiesz, chodzi o to - Neil zmusił się do uśmiechu - że to jest kapitalny prezent! Sam pomyśl, chciałbyś dostać futbolówkę? Albo kij do baseballa? Albo sportowy samochód z odkrytym dachem? Albo cokolwiek, skoro możesz mieć tak wspaniały zestaw przyborów na biurko? Do tego z inicjałami?!

- Tak - Todd wreszcie się uśmiechnął. - Zawsze marzyłem o takiej linijce! A gumka jest po prostu genialna.

Zaczęli się głośno śmiać. Na dworze było jednak coraz chłodniej, zbliżała się noc. Teraz i Neil trząsał się z zimna i szczerzył zębami.

- Wiesz, jak mówił do mnie ojciec, kiedy byłem mały? - zaczął Todd - Pięć pięćdziesiąt. Twierdził, że właśnie tyle byłyby warte wszystkie metale, gdyby je wyodrębnić z ludzkiego organizmu i zastawić w lombardzie. Powtarzał mi, że właśnie tyle będę wart, jeśli każdego dnia nie będę starał się być coraz lepszym. Pięć pięćdziesiąt.

Neil westchnął ciężko i pokręcił głową z niedowierzaniem. „Nic dziwnego, że Todd bywa czasem szurnięty”, pomyślał.

- Kiedy byłem dzieckiem - mówił dalej Todd - wydawało mi się, że miłość rodziców do dzieci jest rzeczą naturalną. Mówili mi o tym nauczyciele w szkole. Czytałem o tym w książkach, które mi kupowano. Byłem głęboko przekonany, że tak po prostu jest, i że inaczej być nie może. Cóż, moi rodzice być może kochali w sposób naturalny mojego starszego brata, ale na pewno nie mnie.

Todd wstał, westchnął ciężko i wszedł do bursy. Neil jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo na lodowatym murku, szukając rozpaczliwie słów, które mógłby teraz Toddowi powiedzieć.

- Todd... - szepnął bezradnie i powoli ruszył za kolegą.

Następnego dnia, kiedy chłopcy przyszli na lekcję angielskiego, Keatinga nie było w sali.

- Słuchajcie - do klasy wpadł Cameron - na tablicy ogłoszeń wisi informacja, że Keating przeniósł dzisiejszą lekcję na dziedziniec.

- Ciekawe, na jaki pomysł wpadł tym razem - Pitts uśmiechnął się szeroko.

Wybiegli na korytarz i pognali na dół. Zaalarmowany hałasem McAllister wychylił się ze swojej sali, zgorszony pokręcił bezradnie głową i wrócił do biurka, przy którym od rana poprawiał testy z deklinacji rzeczowników.

- Proszę panów - zaczął Keating, gdy wszyscy chłopcy stali już przed nim w równym szeregu. - W waszą ciężką pracę wkradł się niebezpieczny element konformizmu. Pitts, Cameron, Overstreet i Chapman, proszę wystąpić. Stańcie dwójkami. Na mój znak zaczniecie maszerować wokół dziedzińca. Nie zastanawiajcie się nad tym, co robicie. Po prostu maszerujcie. Nie będę wystawiał ocen. Uwaga. Raz, dwa, trzy, marsz!

Chłopcy, rzucając na siebie porozumiewawcze spojrzenia, ruszyli sztywnym krokiem. Przemaszerowali wzdłuż boków dziedzińca i wrócili do kolegów.

- Doskonale - pochwalił Keating. - Maszerujcie dalej.

Kiedy po raz drugi robili obchód, Keating i reszta klasy obserwowali ich z uwagą. Po niedługiej chwili chłopcy wyrównali krok, i niczym pluton paradujących kadetów zaczęli głośno wystukiwać butami, raz, dwa, trzy, CZTERY, raz, dwa, trzy, CZTERY. Keating zaczął klaskać do rytmu.

- Słyszycie? Słyszycie?... Złapali! - krzyknął. - Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... u-Kea-tin-ga-ma-my-czad-i - raz-i-dwa-i-raz-i-dwa.

Zwabiony hałasem McAllister podszedł do okna. Niepomniecznie zdziwiła go ta dziwna musztra. Maszerujący uczniowie, znakomicie utrzymując tempo, szli równiutko jak żołnierze, wysoko unosząc kolana i sztywno zginając ręce w łokciach. Teraz już cała klasa klaskała do taktu.

Oklaski i tupanie przeszkodziły w pracy również dyrektorowi Nolanowi, który odłożył książkę i spojrział z okna przez firankę. To, co zobaczył, przypominało mu raczej zajęcia z przysposobienia wojskowego niż lekcję historii literatury angielskiej. Nolan zmarszczył brwi, gdy w polu jego widzenia znalazł się pokrzykujący i klaszczący w dłonie Keating. „Do stu diabłów, co on wyprawia?”

- Uwaga. Dość! - zakomenderował Keating.

Chłopcy zatrzymali się i powrócili do szeregu.

- Zapewne wszyscy z was zauważyli, że na początku panowie Overstreet i Pitts szli w nierównym, indywidualnym rytmie. Pitts odmierzał długie, zamaszyste kroki, a idący obok Knox dreptał spiesznie, prawie biegł truchtem. Niewiele czasu zabrało im jednak dostosowanie się do pozostałych dwóch chłopców. A nasz doping sprawił, że pomaszerowali... idealnie - dokończył Keating znacząco. - Ale tak naprawdę w naszym małym eksperymencie nie chodziło wcale ani o Overstreeta, ani o Pittsa. Dowiódł on jedynie, jak trudno jest jednostce utrzymać własny sposób zachowania pod naciskiem innych osób. Podobnie jest z przekonaniem. Trudno jest zachować własne zdanie, kiedy presja otoczenia zmusza nas do jego zmiany. Jeżeli którykolwiek z was myśli teraz: „ach, ja na pewno maszerowałbym po swojemu”, to niech odpowie sobie, dlaczego klaskał w ręce. Ci, którzy klaskali, brali w tym taki sam udział jak maszerujący. Moi drodzy żacy, w człowieku tkwi nieodparta potrzeba bycia akceptowanym. Za wszelką cenę musicie jednak zaufać tym cząstkom swojej osobowości, które wyróżniają was spośród innych i sprawiają, że jesteście niepowtarzalni. Nawet jeśli wyróżniająca was cecha jest dziwna czy nieakceptowana. Frost powiedział kiedyś tak:

*Gdy stanąłem w lesie na rozstaju dróg,  
Podążyłem tą mniej uczęszczaną,  
I wiedziałem, że to znaczy już,  
Że jest inaczej.*

Zadzwonił dzwonek, ale chłopcy nie ruszali się z miejsca. Wpatrywali się w nauczyciela, rozmyślając nad tym, co przed chwilą usłyszeli. Keating zasalutował na pożegnanie i ruszył do budynku.

Kiedy zaczęli się rozchodzić, Nolan odszedł od okna i usiadł zadumany przy biurku. „Coś z tym trzeba zrobić, ale co?”, pomyślał.

McAllister, śmiejąc się w duchu z Keatinga i jego nowych błazeństw, powrócił do pracy. Z lekkim westchnieniem spojrzął na rozłożone na biurku testy. Słupki odmienianych przez przypadki rzeczowników układały się przed jego oczami w długie, ciemne pasma.

W drodze na następną lekcję chłopcy umówili się na spotkanie w grocie.

- Spotykamy się po obiedzie - Cameron zaczepił Neila.
- O której godzinie?
- Wpół do ósmej.
- Dobrze, przekażę chłopakom - powiedział Neil.

Wieczorem Todd, Neil, Cameron, Pitts i Meeks siedzieli w grocie wokół ogniska, grzejąc sobie ręce nad płomieniami. Do środka zaczęły się wciskać kłęby wieczornej, sinej mgły. Drzewa szumiały głośno, kołysane porywami jesiennego wiatru.

- Bardzo tu dzisiaj ponuro - rzucił cicho Meeks, przysuwając się bliżej ognia. - Gdzie jest Knox?

- Szykuje się do wielkiej imprezy - zachichotał Pitts.

- A co z Charliem? To on nalegał, żeby się dziś spotkać - stwierdził z wyrzutem Cameron.

Wzruszyli ramionami. Neil postanowił otworzyć zebranie.

- „Poszedłem do lasu, wybrałem bowiem życie z umiarem... Chcę żyć pełnią życia. Chcę wyssać wszystkie soki życia”... - Przerwał nagle.

Na zewnątrz coś się poruszyło. Wszyscy nadstawili uszu. Nie mógł to być ani wiatr, ani żadne zwierzę. Wydało im się to dziwne, ale odgłosy przypominały wesoły chichot gromadki dziewcząt. Po chwili, zupełnie już wyraźnie, usłyszeli dziewczęcy głosik.

- Nic nie widzę! Gdzie ty nas prowadzisz?

- To tutaj - odpowiedział stanowczy męski głos.

Był to głos Charliego.

Rozjaśnione blaskiem ogniska twarze chłopców zastygły w pełnym napięcia oczekiwaniu. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku wejścia.

Parę sekund później pojawił się w nim Charlie w towarzystwie dwóch roześmianych dziewcząt.

- Cześć, chłopaki! - zawołał, obejmując prawym ramieniem śliczną blondynkę. - Poznajcie się, przyprowadziłem Głorię i... - zawahał się, patrząc na przyjaciółkę Glorii, niską brunetkę o brązowych oczach.

- Tina - podpowiedziała nie zmieszana, podnosząc do ust puszkę piwa.

- Eeee.. no właśnie! - krzyknął radośnie Charlie. - Jasne, Tinę! Gloria i Tina! A oto, moje drogie panienki, kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów”.

- Co za nazwa - zachichotała Gloria. - Co ona ma oznaczać?

- Mówiłem ci przecież, że to tajemnica - odpowiedział Charlie.

- Czyż on nie jest wspaniały? - wzruszyła się nagle Gloria i czule pocałowała Charliego w policzek.

Oszołomieni chłopcy mierzyli zdumionym wzrokiem te na wpół dzikie, egzotyczne stworzenia, które ni stąd, ni zowąd zagościły w ich jaskini. Z całą pewnością dziewczyny były starsze od nich, miały co najmniej po dwadzieścia lat. Każdego z nich dręczyło to samo

pytanie: skąd, u licha, Charlie je wytrzasnął?

- Drodzy kandydaci - Charlie przyciągnął Głorię do siebie, wprawiając chłopców w jeszcze większe zdumienie. - Chciałbym coś ogłosić. Zgodnie z żywym wśród „Umarłych poetów” duchem wiecznego eksperymentowania porzucam swoje imię i nazwisko. Odtąd proszę do mnie mówić: „Nuwanda”.

Dziewczęta zachichotały. Chłopcy jęknęli z niesmakiem.

- To znaczy, że nie mogę już mówić do ciebie „Czaruś”, kochanie? - zaszcebiotała Gloria, zrzucając Charliemu ręce na szyję. - A swoją drogą, słodziutki, co to znaczy: Numama?

- Nie Numama, tylko Nuwanda. Wymyśliłem to przed chwilą. - odparł Charlie.

- Och, zimno mi - westchnęła Gloria i przylgnęła do niego całym ciałem.

- Chodźmy, chłopaki, przyniesiemy trochę więcej szczap - odezwał się w końcu Meeks.

Kiedy wychodzili, Charlie mrugnął do Meeksa porozumiewawczo. Podszedł do skalnej ściany, zgarnął z niej trochę lepkiego błota i niczym indiański wojownik wymazał sobie na czarno twarz. Rzucił w stronę Glorii lubieżne spojrzenie i wyszedł za innymi. Tina i Gloria zostały w grocie same. Natychmiast zaczęły szeptem wymieniać jakieś sekretne uwagi, wybuchając raz po raz piskliwym śmiechem.

Podczas gdy kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” przeczesywali las wokół grotu w poszukiwaniu chrustu, Knox Overstreet z wypiekami na twarzy pedałowal zawzięcie na rowerze, śpiesząc do domu Danburrych. Kiedy dotarł na miejsce, zeskoczył z siodła, zrzucił szybko kurtkę, złożył ją starannie w kostkę i wpakował do pojemnika przy siodle. Zostawił rower wśród ogrodowych dali, wyprostował się, strzepnął z garnituru niewidoczny pyłek, poprawił krawat i wskoczył lekkim krokiem na ganek. Zapukał do drzwi. Ze środka dochodziły wrzaski i dudnienie głośnej muzyki. Zapukał drugi raz, mocniej. Poczekał chwilę, w końcu nacisnął klamkę i śmiało wszedł do środka.

Szalona impreza właśnie się rozkręcała. W holu, na niedużej otomanie tuliła się jakaś parka. Knox minął ją nie zauważony. Uczestnicy przyjęcia mieli już najwyraźniej za sobą etap drętwych powitań. Idąc w kierunku salonu, Knox doszedł do wniosku, że pozajmowane zostały właściwie wszystkie miejsca nadające się do zabawy we dwoje: meble, tapczany, fotele, krzesła, a nawet dywan i schody na piętro. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Knox stał przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co robić, i wtedy zobaczył wychodzącą z kuchni Chris. Włosy miała w nieładzie.

- Chris! - zawołał.



- Ach, cześć - powiedziała zwyczajnie. - Fajnie, że ci się udało przyjść. Z kim jesteś?

- Z nikim.

- Aha... Wiesz, płatała się tu gdzieś Ginny Danburry. Poszukaj jej - poradziła, odalając się.

- Ale, Chris...! - krzyknął za nią Knox.

- Muszę poszukać Cheta! - odkrzyknęła. - Czuj się jak u siebie w domu!

Knox zwiesił bezradnie ręce, odprowadzając zgnębionym wzrokiem wbiegającą na schody dziewczynę. Gdy zniknęła mu z oczu, spojrzął dookoła siebie. Przeszedł nad leżącą na dywanie parą i zaczął rozglądać się za Ginny Danburry. „Pieska impreza”, pomyślał.

W lesie koło grotty, potykając się w ciemnościach, chłopcy szukali drewna do ogniska.

- Charlie... - syknął Neil.

- Nuwanda - sprostował Charlie.

- Nuwanda - Neil poprawił się cierpliwie. - Co ty wyprawiasz?

- Nic. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby zapraszać tu dziewczyny? - powiedział Charlie.

- Oczywiście, że nie... - wtrącił się Pitts. - O, przepraszam - rzucił, wpadając na Neila.

- Jednak uważam, Charlie, że powinienes nas uprzedzić.

- Chciałem, żeby to był akt spontaniczny - wyjaśnił szeptem Charlie. - O ile dobrze rozumiem, o to w tym wszystkim chodzi, czy tak?

- Skąd je wzięłeś? - pytał dalej Neil.

- Stały przy płocie, kiedy graliśmy w piłkę. Powiedziały, że interesuje je nasza szkoła, więc zaproponowałem im spotkanie w grocie - wyjaśnił Charlie zwyczajnie.

- Czy one chodzą do szkoły Henley Hall? - włączył się Cameron.

- Nie sądzę, by chodziły do jakiegokolwiek szkoły - odparł z rozbajającym uśmiechem Charlie.

- Są miejscowe? - w głosie Camerona zabrzmiała zgroza.

- Szszsz... Cameron, co się z tobą dzieje? - uciszył go Charlie. - Zachowujesz się, jakby były twoją mamuszką. Boisz się ich, czy co?

- Zwariowałeś? - obruszył się Cameron. - Jasne, że nie. Tylko, wiesz... gdyby ktoś nas nakrył... to koniec.

- Chłopcy! Co tam tak długo robicie? - doszedł do nich cienki głos Glorii.

- Zbieramy chrust, zaraz wracamy - odkrzyknął Charlie, po czym odwrócił się do Camerona. - Siedź cicho i nikomu ani słowa, jasne? Nie musisz zaraz trząść portkami, dupku

żołędny.

- Hej, Dalton! Uważaj, kogo nazywasz dupkiem! - zachnął się Cameron.

- Uspokój się, Cameron - łagodził Neil.

- I nie żaden Dalton, tylko Nuwanda - poprawił Charlie, odchodząc do jaskini.

Ruszyli za nim. Cameron, dysząc jeszcze z wściekłości, patrzył, jak wchodzi do grotty.

Przez chwilę stał niezdecydowany, w końcu wolno poszedł za nimi.

Część gałęzi rzucili w dogorywające ognisko, a resztę ułożyli z boku, by móc podsycać ogień. Usiedli dookoła i wpatrzyli się w skaczące coraz wyżej płomienie.

- Ciekaw jestem, jak się mają sprawy Knoxa u Danburrych - zaśmiał się Pitts.

- Biedaczyna - stwierdził Neil. - Obawiam się, że spotkało go tam bolesne rozczarowanie.

Knox, istotnie rozczarowany, snuł się zagubiony po ogromnym domu Danburrych. W końcu trafił do kuchni, w której kilka osób rozprawiało o czymś hałaśliwie, a obok półek z trunkami rozpalony grubas w okularach usiłował pocałować wzbraniającą się dziewczynę. Z uporem podciągał jej spódnicę, a ona zdecydowanie odsuwała jego rękę. Nagle Knox dostrzegł Ginny Danburry. Zaskoczeni odkryciem swej obecności wymienili zakłopotane spojrzenia. Knox poszedł do otwartej lodówki i zaczął przygotowywać sobie drinka.

- Hej! Ty jesteś bratem Mutta Sandersa? -jakiś potężnie zbudowany chłopak, o wyglądzie obrońcy z drużyny futbolowej, położył raptem rękę na jego ramieniu.

- Nie - Knox zaprzeczył ruchem głowy.

- Bubba! - krzyknął futbolista do jakiegoś podpitego atlety. - Zobacz, ten facet wygląda jak Mutt Sanders!

Bubba oparł się o lodówkę i zmierzył Knoxa mętным wzrokiem.

- Jesteś jego bratem? - zapytał.

- To pomyłka - wyjaśniał Knox. - Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Przykro mi.

- Słuchaj, Steve - Bubba zwrócił się do futbolisty. - Gdzie twoje dobre maniery? Stoisz jak słup, zamiast zaprosić brata Mutta na głębszego. Co chcesz, Sanders? Bourbona? Whisky? Mutt dużo nam mówił o tobie.

- Tak naprawdę to ja...

Steve nie słyszał cichego głosu Knoxa. Wcisnął mu w rękę szklankę, nappełnił ją do połowy bourbonem i dołał kilka kropel coca-coli.

Bubba stuknął swoją szklanką o szklankę Knoxa.

- Za Mutta! - krzyknął.

- Za Mutta! - powtórzył jak echo futbolista.

- Za Mutta... - powiedział zrezygnowanym głosem Knox.

Bubba i Steve wypili duszkiem. Knox po namyśle zrobił to samo, i natychmiast gwałtownie się zakrztusił. Gdy doszedł do siebie, Steve nalewał już następną kolejkę. Knoxowi wydawało się, że jego płuca płoną żywym ogniem.

- No, to gadaj, co słyhać u starego Mutta - nie rezygnował Bubba.

- Właściwie - zaczął czerwony na twarzy Knox, kaszląc gwałtownie - to ja naprawdę... go nie znam.

- Za Wielkiego Mutta - Bubba znowu podniósł szklanę.

- Za Wielkiego Mutta - dołączył się futbolista.

- Wiel... kiego Mutta - krztusił się Knox, patrząc, jak jego nowi towarzysze łykają bourbona.

Przechylił szklanę, wypił i zaczął znowu kaszleć. Futbolista walnął go z całej siły w plecy.

- Ciężko schodzi, ale to dobra marka - pocieszał go, śmiejąc się chrapliwie.

- Muszę znaleźć moją Patsy - Bubba czknął. - Pozdrów ode mnie Mutta, równy z niego gość. - Poklepał Knoxa po ramieniu i zniknął mu z oczu.

- Dziękuję - wydusił z siebie Knox, odprowadzając go wzrokiem.

Kątem oka dostrzegł drwiący uśmiezek na twarzy przyglądającej mu się Ginny Danburry.

- No, kochasiu, dawaj szkło - futbolista ponownie napełnił szklaneczkę. Overstreet poczuł, że zaczyna mu szumieć w głowie.

W środku grotty huczał ogień. Gloria, Tina i chłopcy siedzieli wokół ogniska i wpatrywali się jak urzeczeni w strzelające wysoko płomienie. Skwierczał knot świeczki, dogasającej na „bożku jaskini”.

- Domyślałam się, chłopaki, że jesteście postrzeleni, ale nie wiedziałam, że aż do tego stopnia - powiedziała Tina, patrząc na statuetkę.

Wyjęła małą butelkę whisky i wyciągnęła w kierunku Neila. Pociągnął duży łyk, starając się, aby wyglądało, że robi takie rzeczy od niepamiętnych czasów. Oddał butelkę Tinie.

- Podaj ją dalej - zachęciła.

Piersiówka wędrowała z rąk do rąk. Każdy po kolei starał się robić wrażenie obytego z alkoholem, ale jedynie Toddowi udało się nie zakrztusić po przełknięciu.

- Brawo! - Gloria była zachwycona. - Równe z was dziatki. Czy nie brakuje wam w

szkole dziewczyn? - zapytała rzeczowo.

- Brakuje? Ich brak doprowadza nas do szaleństwa! - odpowiedział Charlie. - Dlatego zresztą, między innymi, powstał nasz klub. Chciałem wam zakomunikować, że w szkolnej gazetce opublikowałem artykuł, w którym w imieniu „Stowarzyszenia umarłych poetów” domagam się, by do Akademii Weltona przyjęto wreszcie przedstawicielki płci pięknej, byśmy już więcej nie musieli spać samotnie.

- Co?! - Neil zerwał się na równe nogi. - Jak to zrobiłeś?

- Pracuję przy gazetce jako korektor - chełpił się Charlie. - Przemyciłem tekst.

- O Boże - jęknął Pitts. - To już koniec!

- Dlaczego koniec? - zdziwił się Charlie. - Nikt nic o nas nie wie.

- Czy nie rozumiesz, że Nolan przeprowadzi śledztwo? - krzyczał Cameron. - Trafiają do ciebie i zaczną wypytywać o „Stowarzyszenie umarłych poetów”. Charlie, nie miałeś najmniejszego prawa robić czegoś takiego!

- Jestem Nuwanda, Cameron.

- Właśnie - zagruchała Gloria, obejmując Charliego. - On jest Nuwanda.

- To co my tu właściwie robimy? - zdenerwował się Charlie. - Czy jesteśmy gromadką dzieci, które bawią się w czytanie rymowanek, czy robimy to, na czym nam rzeczywiście zależy? Jeśli tylko czytamy wierszyki, to po co ta cała maskarada? Wierszyki możemy sobie czytać do poduszki.

- Mimo to, Charlie, nie powinieneś był tego robić

- Neil chodził niespokojnie po grocie. - Nie możesz mówić za nas wszystkich.

- Przestańcie się bać o swoje karki - powiedział Charlie. - Nie wy je nadstawiacie. Jak mnie złapią, to powiem, że wszystko sam zmyśliłem. Wasze tyłki mogą spać spokojnie. Poza tym tracimy tylko czas. Gloria i Tina nie przyszły tu po to, żeby słuchać naszej kłótni. Zaczynamy zebranie, czy nie?

- Właśnie - zapiszczała Tina. - Skąd mamy wiedzieć, czy chcemy przystąpić do waszego stowarzyszenia, skoro nawet nie rozpoczęliście zebrania.

- Przystąpić do stowarzyszenia? - zaskoczony Neil spojrzał na Charliego.

Ten jednak nie zwrócił na niego uwagi i zaczął deklamować, patrząc na Tinę.

- „Czy równa się tobie dzień ciepłego lata? Z tobą się piękno i delikatność słońca brata...”

Tina spłoszyła z zachwyty.

- Och, to takie słodkie... - zawołała i rzuciła się Charliemu na szyję.

Pozostali usiłowali nie okazywać zbytniego zainteresowania, walcząc z ogarniającą

ich zazdrością.

- Napisałem to specjalnie dla ciebie - powiedział uwodzicielsko Charlie.

- Naprawdę? - zaświergotała Tina, trzepocząc rzęsami.

- No, dla ciebie też coś napisałem, Glorio - dodał Charlie szybko, dostrzegając chmurę w oczach drugiej dziewczyny.

Zamknął powieki.

- „Stąpa tak piękna jak jasna noc...”

Otworzył oczy i odszedł kilka kroków od ogniska. Próbuąc ukryć, że nie pamięta dalszego ciągu, przechadzać się w skupieniu po grocie. „Stąpa tak piękna jak jasna noc...”, powtarzał w kółko. Odwrócił się plecami do ognia, ukradkiem otworzył antologię Keatinga i odszukał wiersz. Gloria czekała w napięciu. Zamknął książkę, odwrócił się i spojrzał na dziewczynę rozmarzonym wzrokiem.

- „Stąpa tak piękna jak jasna noc, pod czystym, rozgwieżdżonym niebem, i tej jasności, i tej czerni noc, w jej oczach pięknym łączy się promieniem...”

- Och, to jest urocze! - zaszczębiotała. Dręczeni zazdrością chłopcy patrzyli spode łba, jak Gloria tuli się gorąco do Charliego.

Katusze zazdrości przeżywał w tym samym czasie również Knox Overstreet, snujący się po pokojach domu Danburrych. „Niech mnie kule biją, chłopcy mieli rację”, mrucał pod nosem, wyobrażając sobie Cheta i Chris, „oblapiających się” gdzieś teraz na piętrze. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia kolegów, by nie liczył na zbyt wiele u Danburrych.

W całym domu było zupełnie ciemno. Tylko gdzieniegdzie mrok rozjaśniała niska poświata księżycy. Z gramofonu płynęła muzyka Driftersów Knox, gdziekolwiek spojrzał, widział tulące się do siebie pary.

Trzymając w ręku szklanekę, mocno już pijany, nastąpił na kogoś leżącego na dywanie.

- Hej!

## ROZDZIAŁ X

- Przepraszam - bąknął Knox i opadł na stojącą w pobliżu kanapę.

Rozparł się wygodnie i pociągnął duży łyk bourbona. Teraz już nie czuł pieczenia w gardle. Widać, w rozpaczy do wszystkiego można przywyknąć. Potoczył dookoła mętным wzrokiem. Po swojej lewej stronie z pewnym trudem rozpoznał splecioną ciasno parę, której niewyraźne kontury przywodziły na myśl smoka z dziecięcej bajki, na dodatek wydającego z siebie gardłowe pomruki. Po drugiej stronie kanapy wciskała się w kąt inna para, zdając się tworzyć jedną całość z meblem. Knox postanowił nie zakłócać im spokoju, jednak kiedy próbował wstać, jedna z par przesunęła się, przygniatając go do oparcia, tak że nie mógł się swobodnie ruszyć. Spojrzał na lewą, później na prawą stronę i zachichotał. „Niech tam! Mnie wygodnie, a i oni nie powinni narzekać”. Rozkochane parki były zbyt zajęte sobą, by zwracać na niego uwagę.

Kiedy muzyka umilkła na chwilę, pokój wypełniły odgłosy ciężkich oddechów. „Cholera, czuję się, jakbym leżał na oddziale intensywnej terapii”, pomyślał Knox, żałując w duchu, że nie ma obok niego kogoś, z kim mógłby poodychać równie głośno. Zerknął na parę po prawej. „Kurczę, przecież ten facet odgryzie jej zaraz wargę”, szepnął ze zdziwieniem i odwrócił głowę w drugą stronę.

- Ach, Chris, jesteś taka piękna - usłyszał namiętny szept.

„O Jezu! Chris! To Chet i Chris!” uprzytomnił sobie w panice.

Serce zaczęło mu walić jak opętane. Obok niego, na tej samej kanapie, dosłownie centymetry od jego dłoni siedziała Chris Noel! Ktoś znowu puścił muzykę, słodki utwór Driftersów, „Ta magiczna chwila”. Knox czuł, jak wszystko wokół wiruje w rozszalałym, zawrotnym tempie. Chciał odwrócić oczy, ale nie potrafił oderwać wzroku od włosów i twarzy ukochanej. Chris i Chet niczym się nie krępowali.

- Chris... - jęknął Chet - jesteś boska...

W przypiływie namiętności przylgnął do niej całym ciałem, i Chris oparła się plecami o Knoxa, który wpatrzył się w profil jej twarzy, w łagodne zaokrąglenia piersi, w obnażony kark. Jednym haustem dopił bourbona i zmusił się, by spojrzeć w inną stronę.

„Boże, dopomóż, Boże, dopomóż”, powtarzał w myślach, czując, jak Chris coraz mocniej przywiera do jego boku. Resztkami sił walczył z coraz silniejszą pokusą. Próbował jeszcze wstać i odejść, ale wiedział już, że przegrał wewnętrzną walkę.

Raptem odwrócił się do Chris. Zupełnie stracił panowanie nad rosnącym pożądaniem.

- Carpe piersiam - szepnął do siebie, zamykając oczy. - Chwytaj pierś!

- Hmm? - usłyszał, jak Chris mruczy do Cheta.

- Nic nie mówiłem - wyszeptał Chet.

Para znowu przyłgnęła do siebie w gorącym pocałunku, a Knox poczuł, jak jego ręka, prowadzona jakąś niezależną od niego siłą, pełźnie ku Chris i delikatnie dotyka jej ciepłego, nagiego karku, a potem powoli, powoli zsuwa się po ramieniu na dół, ku wspaniałej okrągłości piersi.

Przekonana, że to dłoń Cheta, Chris westchnęła z rozkoszą, na co Chet zaczął ją coraz mocniej tulić i coraz głośniej wzdychać.

- Och, Chet, to cudowne - jęknęła.

- Cudowne? - Chet wydawał się zaskoczony. - Co?

- ...wiesz co - szepnęła.

Knox prędko cofnął rękę. W tej samej chwili Chet podniósł głowę i rzucił szybkie spojrzenie ponad głową Chris, która natychmiast przyciągnęła go z powrotem ku sobie.

- Nie przestawaj, Chet. Nie przestawaj... - wzdychała.

- Nie przestawaj co?

- Chet...

Knox znowu położył rękę na jej karku i głaszcząc delikatnie szyję, zaczął przesuwając dłoń ku piersiom.

- Och, och... - jęknęła.

Chet znowu się odsunął, próbując zrozumieć, co wprawiają w taki stan. Knox cofnął rękę. Po chwili Chet wrócił w objęcia dziewczyny. Chris wzdychała cicho z rozkoszy.

Knox położył głowę na oparciu kanapy. Płynąca z gramofonu muzyka stawała się coraz głośniejsza. Nie panując już nad sobą, coraz namiętniej gładził szyję Chris, powoli przesuwając dłoń po jej dekolcie. Oddychała głęboko. Knox zapomniał o bożym świecie... i wtedy z ręki wypadła mu szklaneczka po bourbonie. Zrobiło się zamieszanie.

Poczuł, że ktoś łapie go za przegub dłoni, spoczywającej gdzieś na wysokości dekoltu Chris. Ktoś krzyknął, ktoś zapalił światło. Oszołomiony, otworzył przerażone oczy i zobaczył przed sobą rozwścieczonego Cheta oraz speszoną Chris.

- Co ty...! Co ty robisz?! - wrzasnął Chet.

- Knox? - bąknęła Chris, osłaniając, dłonią oczy przed światłem.

- Ooo, Chet... Chris... - wydusił z siebie Knox, udając zdziwienie. - Co wy tu robicie?

- Ty gnojku! Co ty sobie wyobrażasz, ty... - Chet rzucił się na Knoxa.

Wymierzył mu w szczękę klasyczny prawy sierpowy, potem złapał go za kołnierz ko-

szuli i zaczął nim rzucać jak workiem treningowym. Upadli na podłogę. Chet w niepo- hamowanej furii okładał go pięścią po twarzy, którą Knox beznadziejnie i nieumiejętnie starał się osłonić.

- Ty gnojku! Ty wypierdku! Ty mały wypierdku! - wrzeszczał rozszalały Chet.

- Chet! Zrobisz mu krzywdę! - Chris usiłowała go powstrzymać.

Chet wciąż bił Knoxa po twarzy. Futbolista, towarzysz Knoxa ze spiżarni, przyglądał się bójkę pijackim wzrokiem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Chet wali po gębie brata swego najlepszego kumpla, Mutta Sandersa. Kręcąc głową, wzruszył obojętnie ramionami.

- Chet, przestań! On nie chciał! - krzyczała Chris. Zepchnęła w końcu Cheta z Knoxa, który przetoczył się na bok, kryjąc w rękach twarz.

- Dostyc już! Dostyc! - Chris biła pięściami w pierś Cheta.

Knox leżał bezwładnie na dywanie, nie mogąc się podnieść, z rozbitego nosa płynęła mu krew. Otarł ją białym rękawem koszuli.

- Przepraszam cię, Chris! Przepraszam - wykrztusił.

- Chcesz jeszcze...? Co? Spieprzaj, i to zaraz, bo... - Chet zbliżył się znowu do Knoxa, ale Chris i paru jej kolegów zastąpili mu drogę.

Ktoś wyprowadził Knoxa z pokoju. Słaniając się na nogach, odwrócił się jeszcze i krzyknął:

- Przepraszam cię, Chris! Przepraszam!

- Następnym razem, jak cię zobaczę, to zabiję! - wrzasnął w odpowiedzi Chet.

Tymczasem w grocie trwało posiedzenie „Stowarzyszenia umarłych poetów”, i nikt się nie domyślał, że jeden z kandydatów stowarzyszenia znalazł się w niezłych tarapatkach.

Ognisko strzelało iskrami, płomienie tańczyły wesoło, rzucając na ściany jaskini nie- samowite, ruchliwe cienie. Gloria siedziała przy Charliem, obejmując go czule za szyję i wpatrując się w niego marzycielsko. Pozostali wciąż pociągali z butelki.

- Słuchajcie, chłopaki, pokażcie Tinie „Ogród umarłych poetów” - powiedział Charlie, wymownie wskazując głową wyjście z grotu.

- Ogród? - zapytał osłupiały Meeks.

- Jaki ogród? - jak echo odezwał się Pitts. Charlie oczami dawał im znaki, że mają już sobie pójść.

Neil pierwszy połapał się, w czym rzecz, i trącił znacząco Pittsa. W końcu i Pitts zo- rientował się, o co chodzi.

- Aaaa, TEN ogród! Jasne, świetny pomysł. Idziemy, chłopaki - powiedział szybko.



- To dziwne - odezwała się zaskoczona Tina. - Więc macie również ogród?

- Taki mały, wiesz, kilka drzewek, ale sami je posadziliśmy - przekonywał Pitts.  
Zaczęli wychodzić, jeszcze tylko Meeks stał zdumiony w bezruchu.

- O czym wy gadacie? - zapytał, nic nie pojmując. - Jaki ogród?

Charles rzucił mu mordercze spojrzenie.

- Charlie, eee, to znaczy, Nuwanda - plątał się Meeks. - Przecież my nie mamy ogrodu.  
Neil zawrócił od wyjścia i śmiejąc się podszedł do Meeksa.

- Chodź, baranie - pociągnął go za rękaw. Charlie poczekał, aż obaj znikną mu z oczu,  
i odwrócił się z uśmiechem do Glorii.

- Boże, taki bystrzak, a taki tępak zarazem!

Gloria wlepiała w niego rozmarzone oczy.

- A ja myślę, że on jest słodki - powiedziała.

- A ja myślę, że ty jesteś słodka - westchnął teatralnie Charles i nachylił się ku niej.  
Zdażył zaledwie musnąć jej usta, gdy poderwała się i stanęła dwa kroki dalej.

- Wiesz, co najbardziej w tobie lubię? - zapytała. Charlie patrzył na nią, mrugając oczami.

- ...co?

- Każdy chłopak, z którym się spotykam, chce ze mną robić tylko jedno... Ale ty nie jesteś taki.

- Nie jestem?

- Nie! - zapewniła z uśmiechem. - Każdy inny już dawno położyłby na mnie swoje łapska... ale ty jesteś... taki... no, sama nie wiem. Powiedz mi jeszcze jakiś wiersz.

- No tak... ale... - Charlie nie bardzo wiedział, jak się wykręcić.

- Ach, proszę! - podniosła oczy ku górze. - To takie wspaniałe być podziwianą za... za coś, co... no wiesz, co ma się w środku... a nie na zewnątrz.

Charlie jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Dziewczyna spojrzała na niego.

- Nuwanda? Proszę... - powiedziała cicho.

- Dobrze, zaraz, niech pomyślę... - przez chwilę było cicho, a potem Charlie zaczął recytować.

*Do miłości poślubionych dusz nie będzie mi wolno  
Przeszkody dopuścić. Miłość nie będzie miłością  
Gdy bieg zmienia, jeśli droga się rozwidla.  
Albo ciężar na nią spadnie i pod bólem się ugina.*

Gloria jęknęła w zachwycie.

- Mów dalej - poprosiła.

Charlie mówił, a dziewczyna wdychała coraz głośniej.

*O nie! Miłość na zawsze przybitą jest pieczęcią,  
Która z burzą staje i burzy nie ustąpi wstrząśnięciom.  
Jest gwiazdą dla każdego włóczęgi,  
Który nie wiadomo jaki jest, choć minęły dni jego  
potęgi.*

- To jest lepsze niż seks - stwierdziła Gloria. - To takie ROMANTYCZNE!

Charlie rzucił na nią wściekłe spojrzenie, ale aż do późnej nocy siedział z nią w jaskini i cierpiał męki, posłusznie recytując wiersze.

Następnego dnia wszystkim uczniom Akademii Weltona polecono zgromadzić się w kaplicy. Zajmując miejsca, chłopcy szeptali z ożywieniem i podawali sobie egzemplarze ostatniego wydania szkolnej gazetki.

Knox Overstreet chował głowę w ramionach, chcąc ukryć stłuczenia i siniaki na spuchniętej twarzy. Na bladych obliczach Neila, Todda, Camerona, Meeksa, Pittsa, a w szczególności Charliego, malowało się zmęczenie po nie przespanej nocy. Pitts, ziewając bezwstydnie, podał Charliemu mały, brązowy neseser.

- Wszystko załatwione. Powinno działać - powiedział.

Charlie skinął z podziękowaniem głową.

Do kaplicy wszedł dyrektor Gale Nolan. Uczniowie błyskawicznie pochowali egzemplarze szkolnej gazetki i wstali z miejsc. Zapadła cisza. Głucho stukając butami, Nolan podszedł zdecydowanym krokiem do mównicy. Ogarnął kaplicę srogim spojrzeniem i dał znak, że można usiąść. Chrząknął donośnie.

- W ostatnim wydaniu naszej gazetki „Zaszczyty Weltona” znalazł się szkodliwy i bezecny artykuł, nawołujący do przyjmowania w mury naszej Akademii... dziewcząt. Artykuł ukazał się bez zezwolenia redaktora naczelnego. Nie mam zamiaru trwonić czasu na prowadzenie śledztwa. Wierzcie mi, że prędzej czy później sprawca tego karygodnego postępkę zostanie ujawniony. W tej chwili chciałbym natomiast prosić każdego, kto wie cokolwiek na temat tego pożałowania godnego artykułu, by wystąpił i powiedział wszystko,

co jest mu wiadome. Jest to ostatnia szansa dla autora tych bezceństw, by uniknąć relegowania z Akademii.

Nolan zamilkł i spojrzał wyczekująco na zgromadzonych uczniów, jednak nikt nie zareagował na jego wezwanie. Zapadła długa, złowroga cisza.

Zakłócił ją niespodziewanie terkot telefonu. Charlie błyskawicznie złapał stojący u jego nóg neseser, położył go na kolanach i uchylił wieko. W środku dzwonił prawdziwy biurowy telefon. Przez kaplicę przeleciał stłumiony szmer. Jeszcze nikt nie dopuścił się w Akademii Weltona tak skandalicznego wybryku! Charlie podniósł słuchawkę.

- Tu Akademia Weltona, słucham? - powiedział głośno, by wszyscy mogli słyszeć. Dziesiątki par oczu zwróciły się w jego kierunku. - Tak, jest tutaj, już go proszę do aparatu - mówił dalej. - Panie dyrektorze Nolan! - krzyknął z powagą. - Telefon do pana.

Nolan w jednej sekundzie spurpurowiał.

- Co? - wycharczał.

- Telefonuje pan Bóg - Charlie wyciągnął w kierunku dyrektora słuchawkę. - Mówi, że przydałyby się nam w Weltonie dziewczęta.

Sklepienie starej kaplicy zatrzęsło się od salwy dzikiego śmiechu. Kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” popatrzyli na siebie bezradnym wzrokiem.

Dyrektor nie kazał Charliemu długo czekać na konsekwencje. W chwilę później Charlie stał wyprostowany jak struna przed szerokim biurkiem w dyrektorskim gabinecie, a Gale Nolan nerwowym krokiem przechadzał się po pokoju.

- Przestań się głupio uśmiechać, Dalton - zasyczał. - Kto jeszcze jest w to zamieszany?

- Nikt, proszę pana - odpowiedział Charlie. - To wszystko ja sam. Robię w gazetce korektę, więc bez kłopotów udało mi się podłożyć mój artykuł w miejsce materiału Roba Crane'a.

- Dalton - powiedział Nolan - jeśli sądzisz, że jesteś pierwszym, który usiłuje zostać wyrzucony z tej szkoły, to jesteś w wielkim błędzie. Próbował już niejeden. Jednak nie wszystkim się to udało i tobie również się nie uda. Proszę przyjąć pozycję.

Charlie posłusznie pochylił się nad krzesłem, wystawiając się na dyrektorskie razy. Nolan wyjął z szafki szeroką deseczkę z uchwytem. Wydrążone w niej otwory nadawały uderzeniom odpowiednią siłę. Zdjął marynarkę, poluznił krawat i stanął za Charliem.

- Licz głośno, Dalton - polecił.

- Raz! - Charlie poczuł piekący ból.

Nolan uderzył drugi raz, wkładając w cios więcej siły.

- Dwa - Charlie przymknął oczy.

Nolan bił, a Charlie liczył. Po czwartym uderzeniu jego głos przycichł, a na poczerwieniałej twarzy pojawił się grymas bólu.

Pani Joan Nolan, żona i sekretarka dyrektora, siedziała w biurze obok i usiłowała zająć czymś uwagę, by nie słyszeć głośnych razów zza ściany. Odgłosy uderzeń słychać było także w sali lekcyjnej po przeciwnej stronie, gdzie trzech uczniów, a wśród nich Cameron, w ramach zajęć z plastyki szkicowało głowę łosia. Doskonale słyszeli równomierne razy osławionej deseczki, które napełniały ich grozą i głębokim respektem dla wymierzającej karę ręki. Cameron nie potrafił się skoncentrować na pracy. Rogi jego zwierzęcia były beznadziejnie koślawe.

Przy siódmym uderzeniu z oczu Charliego popłynęły łzy.

- Licz! - krzyknął Nolan.

Przy dziewiątym Charlie nie mógł już wydobyć z siebie głosu. Po dziesiątym Nolan przestał bić.

- Ciągłe utrzymujesz, że działałeś w pojedynkę?! - Nolan obszedł chłopca i spojrzał mu w oczy.

- Tak... proszę... pana... - powiedział Charlie przerywanym z bólu głosem.

- Co to jest to całe „Stowarzyszenie umarłych poetów”? Nazwiska! - krzyczał Nolan.

- To tylko ja... panie Nolan. Przysięgam. Wszystko sam zmyśliłem - odparł słabo Charlie.

- Jeśli dowiem się, że w tym spisku brały udział inne osoby, Dalton... to one zostaną relegowane ze szkoły, a ty tu pozostaniesz! Zrozumiano? A teraz wyprostuj się.

Charlie z najwyższym trudem powstrzymywał się od płaczu, przełykając łzy bólu i upokorzenia.

- Akademia Weltona umie wybaczać, jeśli tylko ty, Dalton, masz dość odwagi, by wyznać przed nią swoje błędy. Na specjalnym apelu publicznie przeprosisz całą szkołę.

Słaniając się na nogach, Charlie wyszedł z gabinetu dyrektora Nolana i wolniutko poszedł w kierunku bursy.

W bursie tymczasem chłopcy jak oparzeni biegali od pokoju do pokoju, z przejęciem komentując wydarzenia i w napięciu oczekując na powrót Charliego. Kiedy wreszcie pojawił się na korytarzu, zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy umknęli do swoich pokojów i udawali zajętych jakimiś nad wyraz ważnymi zadaniami domowymi.

Charlie przeszedł powoli wzdłuż korytarza, mijając uchylone drzwi. Usiłował nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest obolały. Kiedy był już blisko swojego pokoju, podeszli do niego Todd, Neil, Knox, Meeks i Pitts.

- Co się stało? - zapytał Neil. - Wszystko w porządku? Wyrzucił cię ze szkoły?

- Nie wyrzucił - odpowiedział Charlie, unikając wzroku kolegów.

- Co się stało? - nalegał Neil.

- Na specjalnym apelu mam publicznie przyznać się do winy, przeprosić szkołę i wydać współwinnych. Wtedy mi przebaczą - odpowiedział Charlie.

Otworzył drzwi i wszedł do swojego pokoju.

- Co zamierzasz? - pytał dalej Neil. - Charlie?

- Do cholery, Neil! Nazywam się Nuwanda - odparł Charlie i zatrzasnął drzwi.

Chłopcy spojrzeli na siebie niepewnie. Powoli na ich twarzach pojawił się wyraz ulgi. Dalton nie pękł, to pewne.

Po południu tego samego dnia do jednego z budynków, w których mieściły się sale lekcyjne, wszedł dyrektor Gale Nolan. Skierował się prosto do klasy języka angielskiego. Zatrzymał się przed drzwiami, zapukał dwa razy i nie czekając nacisnął klamkę. John Keating mówił coś z ożywieniem do nauczyciela łaciny, pana McAllistera. Nolan wszedł do sali.

- Drogi panie Keating, chciałbym zamienić z panem parę słów - powiedział.

- Pan wybaczy, zobaczymy się później - rzucił McAllister do Keatinga i wyszedł szybko.

Gale Nolan w milczeniu rozejrzał się dookoła.

- W tej sali prowadziłem swoje pierwsze lekcje. Wiedział pan o tym? - powiedział, przechadzając się między ławkami. - To była moja pierwsza nauczycielska katedra - dodał z westchnieniem.

- Nie wiedziałem, że pan uczył - odparł Keating.

- Angielskiego. Ale to dawne czasy. Bardzo dawne. Proszę mi wierzyć, trudno było mi się z tym rozstać.

- Zamilkł na chwilę i spojrzał Keatingowi prosto w oczy.

- Dochodzą mnie wieści, drogi Johnie, o pewnych niekonwencjonalnych metodach nauczania, które stosujesz na swoich lekcjach. W najmniejszym stopniu nie chciałbym sugerować, że mają one cokolwiek wspólnego z ostatnim fatalnym wybrykiem Daltona, ale... zapewne nie muszę ci mówić, jak chłonni i bezkrytyczni są młodzieńcy w tym wieku, jak nawet byle czym można zrobić na nich wrażenie.

- O tak. W rzeczy samej, myślę, że pana reprimenda zrobiła na Charliem duże wrażenie - odciął się Keating.

Nolan uniósł na chwilę brwi, ale zignorował uwagę.

- Co działo się wczoraj podczas pańskiej lekcji na dziedzińcu? - zapytał.

- Wczoraj na dziedzińcu?

- Ci maszerujący równo chłopcy, to klaskanie w ręce, wie pan, o co mi chodzi...

- Ach, to. Przeprowadzaliśmy ćwiczenie praktyczne z tezą. O złych duchach konformizmu. Chciałem...

- John - przerwał mu Nolan. - Program nauczania w naszej Akademii został opracowany wiele lat temu. Jest sprawdzony. Przynosi doskonałe wyniki. Jeśli ty poddajesz w wątpliwość jego słuszność, to cóż dopiero ci młodzi chłopcy?

- Zawsze uważałem, że kształcenie polega na tym, by uczyć prawa do własnego zdania - powiedział Keating.

Nolan zaśmiał się z cicha.

- W ich wieku? - rzucił ironicznie. - Własne zdanie? Coś takiego nie może się powieść. Tradycja, John! Dyscyplina! - z wyższością poklepał Keatinga po ramieniu. - Przygotuj ich do college'u. Reszty nauczy ich życie.

Nie przestając się uśmiechać, Nolan pokiwał głową i wyszedł. Keating stał nieruchomo i zamyślnym wzrokiem wpatrywał się w okno. Po niecałej minucie w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa McAllistera. Bez wątpienia podsłuchiwał.

- Na twoim miejscu nie martwiłbym się tym, że ci chłopcy wyrosną na konformistów - powiedział.

- A to czemu?

- Podobno ty też kończyłeś tę szkołę, prawda?

- Tak.

- Jeśli chcesz wychować zagorzałego ateistę, musisz udzielać mu surowych lekcji religii - zauważył McAllister. - To zawsze owocuje dobrymi skutkami.

Keating patrzył przez chwilę na McAllistera i nagle roześmiał się serdecznie. McAllister uśmiechnął się, pokiwał mu ręką i zniknął za drzwiami.

Późnym wieczorem Keating wybrał się do bursy. Chłopcy przygotowywali się właśnie do kolejnego spotkania w grocie. Kiedy wychodzili z pokoju, zobaczyli zbliżającego się nauczyciela.

- Pan Keating? - bąknął zdumiony Charlie.

- To był bardzo kiepski kawał, panie Dalton - powiedział ostro Keating.

- Trzyma pan stronę Nolana? - w głosie Charliego pojawiło się rozczarowanie. - A co z „carpe diem”? Co z wysysaniem soków życia, i tak dalej?

- Wyssania soków życia nie należy mylić z udławianiem się kością, Charles - od-

powiedział Keating. - Jest czas na śmiałość, tak jak i jest czas na rozwagę. Mądry człowiek rozumie to i potrafi odgadnąć, kiedy jest czas na co.

- Ale ja myślałem... - zająknął się Charlie.

- Dać się wyrzucić ze szkoły nie jest czynem ani śmiałym, ani mądrym. Być może nie jest to szkoła twoich marzeń, ale z pewnością daje możliwości, dla których warto do niej uczęszczać.

- Czyżby? - parsknął rozzłoszczony Charlie. - Na przykład jakie?

- Na przykład takie jak moje lekcje angielskiego, rozumiemy się?

- Tak, proszę pana - Charlie błyskawicznie się rozchmurzył.

Keating odwrócił się do pozostałych kandydatów „Stowarzyszenia umarłych poetów”, którzy stali kilka kroków dalej.

- To samo odnosi się do was wszystkich - powiedział surowym tonem.

- Tak, proszę pana - odpowiedzieli chórem chłopcy.

Keating uśmiechnął się lekko i odszedł.

Następnego dnia na początku lekcji angielskiego Keating napisał na tablicy wielkimi literami słowo: COLLEGE. Podkreślił je grubą linią.

- Moi panowie - powiedział - omówimy dziś pewną bardzo ważną dla każdego przyszłego studenta umiejętność, której opanowanie jest niezbędne, jeśli nie chce się zmarnować kilku lat studiowania w college'u. Otóż chodzi o umiejętność analizowania nie przeczytanych lektur.

Chłopcy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- College w bardzo krótkim czasie zniszczy wasze zamiłowanie do poezji - mówił dalej Keating. - Dokonają tego długie godziny drobiazgowych analiz i nie kończących się interpretacji. Wiersz będzie dla was istniał tylko jako rymy, zgłoski i metafory... W college'u poznacie na pewno dzieła najwyższego lotu, których piękno powinniście umieć smakować. Niekiedy jednak skazani będziecie na godne pożałowania brednie, których należy unikać jak dżumy.

Keating spacerował powoli przed klasą.

- Załóżmy, że zdecydujecie się na wykłady z powieści współczesnej. W ciągu całego semestru czytacie wyborną literaturę, wzruszającego „Ojca Goriot” Balzaka, „Ojców i dzieci” Turgieniewa i wiele innych arcydzieł. Kiedy jednak przychodzi okres zaliczeń, okazuje się nagle, że jedynym tematem na egzaminie będzie problem miłości rodzicielskiej, który w swej powieści pod tytułem „Wątpliwy debiut” podjął nie kto inny jak sam... wasz pan profesor.

Keating zerknął spod powiek na chłopców i mówił dalej.

- Po przeczytaniu pierwszych trzech stron książki uświadamiacie sobie, że wolelibyście być wysłani na front niż trwonić drogocenny czas na zajmowanie umysłu takimi śmieciami. Ale któż śmiałby głośno narzekać? Czy warto przez taką błahostkę oblać egzamin? Oczywiście, że nie. Przecież przez cały semestr pilnie pracowaliście i powieść współczesną znacie bardzo dobrze. Co robić?

Chłopcy wsłuchiwali się zachłannie w słowa nauczyciela.

- Sposób na nie przeczytane lektury jest bardzo prosty. Bieriecie do ręki ów „Wątpliwy debiut” i z kilku zdań streszczenia na obwolucie dowiadujecie się, że pewien jegomość imieniem Frank, który żyje z handlu snopowiązałkami, poświęca wszystko, by umożliwić przyzwoity start swojej córce o dźwięcznym imieniu Christine, która zresztą jest złąkniona sukcesu i leniwa. Na egzaminie swoją odpowiedź rozpoczynamy od przekonania profesora, iż nie będziemy przytaczać szczegółów intrygi, by od razu przejść do głębszej interpretacji znakomitego dzieła. Jednocześnie chytrze przemycamy wszystkie nasze wiadomości z obwoluty, chcąc utwierdzić go, iż rzetelnie przeczytaliśmy całą lekturę.

W następnej części warto zaskoczyć profesora ambitną analizą porównawczą, wobec której trudno zająć obojętne stanowisko. Na przykład mówimy coś w tym rodzaju: „Konieczne jest odnotowanie pouczającego podobieństwa między śmiało przez autora skreślonym portretem kochającego rodzica a niektórymi elementami teorii Zygmunta Freuda. Nasz powieściowy Frank, ojciec Christine, to upadły Edyp, natomiast Christine to Elektra...”

Wreszcie nadchodzi czas efektownej konkluzji, i tu radziłbym odwołać się do bardzo niejasnych i nie sprecyzowanych źródeł... Na przykład coś w tym rodzaju - Keating zamilkł na krótką chwilę i zaczął czytać z notatnika: - „Rzeczą godną największej uwagi jest trudno uchwytna, tajemnicza nić, jaka łączy powieść z naukami hinduskiego filozofa i proroka Avesha Rahesha Nona. Sięgając do mitycznego wyobrażenia trójgłowego smoka, Rahesh Non drobiazgowo analizuje przyczyny, dla których dzieci porzucają swoich rodziców. Według proroka trzy smocze głowy to ambicja, pieniądze i sukces.” I tak dalej, i tak dalej, możecie swobodnie rozwijać filozofię Rahesha Nona, począwszy od tego, czym straszne głowy się odżywiają, a skończywszy na tym, jak je ściąć, by już więcej nie odrastały. Na sam koniec swojej wypowiedzi należy, niezbyt nachalnie, ale z udaną szczerością, pochwalić profesora za olśniewający talent literacki i godną zazdrości odwagę, którą okazał publikując „Wątpliwy debiut”.

Meeks podniósł rękę.

- Kapitanie... a co zrobić, jeśli nic się nie wie na temat kogoś takiego, jak Avesh Rahesh Non?



- Avesh Rahesh Non nigdy nie istniał, Meeks. Chodzi o to, aby sobie kogoś takiego wymyślić. Żaden ceniący się profesor nie przyzna się, że jest mu obce nazwisko hinduskiego filozofa, tym bardziej, gdy pada ono z ust zwykłego studenta. Najprawdopodobniej wasza odpowiedź zostanie skomentowana podobnie, jak zrobił to mój profesor.

Keating wziął do ręki kartkę papieru, która była wsunięta pomiędzy strony notatnika.

- „Pańskie odwołanie się do dzieł Avesha Rahesha Nona - zaczął czytać donośnym głosem - było dowodem bardzo wnikliwej analizy. W jasny i poprawny sposób umiał pan odczytać jego idee. To miło usłyszeć, że oprócz mnie jest jeszcze ktoś, kto ceni sobie tego wielkiego, choć nieco już zapomnianego mędrca Dalekiego Wschodu. Celująco.”

Rzucił kartkę papieru z powrotem na biurko.

- Moi panowie, z pewnością przyjdzie wam zmagać się na egzaminie końcowym z analizą jakiejś literackiej szmiry, której nie przeczytaliście. Radzę więc, byście poćwiczyli trochę tę sztukę, bo może się przydać. A teraz kilka słów o pułapkach, które czyhają podczas egzaminów. Przygotujcie się, zrobimy mały sprawdzian.

Keating rozdał testy z gramatyki, następnie rozpostarł na tablicy ekran do przeźroczy, przeszedł na tył klasy i wyjął z szafki projektor. Zdmuchnął z niego kurz.

- Wielkie uniwersytety to siedlisko grzesznych pokus. Prawdziwa Sodomia i Gomora, pełna rozkosznych stworzeń, których próżno by szukać w murach naszej szacownej akademii - powiedział z uśmiechem, regulując ostrość padającego na ekran światła. - Teraz musicie uważać, żeby nie stracić głowy. Prawdopodobieństwo szybkiej dekoncentracji jest bardzo wysokie, ale będzie to dobre przygotowanie do nauki w collegeu. Ostrzegam, że test z gramatyki będzie oceniony. Uwaga, zaczynamy.

Uczniowie pochylili głowy nad testami, a Keating wsunął do projektora pierwsze przeźrocze. Na ekranie zgrabna, jasnowłosa nastolatka pochylała się ku ziemi, by podnieść długopis. Miała fantastyczną figurę, a krótka spódniczka odsłaniała jej długie i smukłe nogi tak, że widać było białe figi. Chłopcy rzucili okiem na ekran, raz, później jeszcze raz, i jeszcze...

- Skoncentrujcie się na rozwiązywaniu testu, moi drodzy. Macie tylko dwadzieścia minut. W college'u gramatyka jest traktowana bardzo poważnie - przypominał Keating, wsuwając następne przeźrocze.

Tym razem zdjęcie przedstawiało powabną, skąpo odzianą modelkę z kolorowego tygodnika. Chłopcy znowu spojrzeli na ekran. Wyświetlając kolejne przeźrocza, Keating z rozbawieniem obserwował, jak usiłują skupić się nad testem. Jedno po drugim pojawiały się kolejne ujęcia. Kobiety stojące we wdzięcznych pozach, uśmiechające się kokieteryjnie,

zapraszające nieśmiało. Kilka razy przewinęły się greckie rzeźby, przedstawiające nagie boginie... Głowy chłopców bezwiednie to podnosiły się ku zdjęciom, to opadały ku pytaniom testu. Knox Overstreet, wpatrując się tępo w ekran, wypisywał na swojej kartce jedno i to samo słowo: „Chris, Chris, Chris, Chris...”

## ROZDZIAŁ XI

W powietrzu czuło się już oznaki surowej vermonckiej zimy. Gwałtowne podmuchy wiatru przemiały po dziedzińcu suche liście.

Todd i Neil, w ciepłych puchowych kurtkach i szalikach szli wąskimi ścieżkami kampusu, naciągając na czoła kaptury. Neil powtarzał głośno fragmenty roli Puka ze „Snu nocy letniej”:

- „Tu, gotów z mieczem. Gdzieżeś ty, nicponiu?”

- „Zaraz do ciebie, zaraz miecz mój dotrze.” - Todd czytał ze skryptu kwestie Lysandra.

- „Więc pójdz w równiejsze tam miejsce na błoniu.” - zakończył Neil, przekrzykując wycie wiatru. - Boże, jak ja to kocham! - zawołał.

- Sztukę? - spytał Todd.

- Tak. I aktorstwo! - entuzjazmował się Neil. - To musi być jedna z najwspanialszych rzeczy na świecie. Ludzie w większości przeżywają tylko połowę tego, co naprawdę mogliby przeżyć - rzecz jasna, o ile mają trochę szczęścia. Gdybym grał w teatrze, filmie, gdybym dostawał role... przeżyłbym dziesiątki razy to, co naprawdę na mnie czeka.

Wyrwał pędem do przodu, wskoczył należący w trawie głąz i stanął w teatralnej pozie.

- „Być albo nie być, oto jest pytanie!” Rany, po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę wolny! Żywy!

Zeskoczył z głązu.

- Chłopie, musisz spróbować tej zabawy - powiedział do Todda. - Przyjdz na najbliższą próbę. Wiem, że potrzebni są ludzie do obsługi świateł i zmiany dekoracji. Na pewno ci się spodoba.

- Nie, dziękuję.

- Są niezłe dziewczyny - Neil uśmiechnął się szelmowsko. - Hermia jest zupełnie do rzeczy.

- Przyjdem na premierę - obiecał Todd.

- Terę fere kuku... - zaśmiał się Neil. - Dobra, na czym to skończyliśmy?

- „Gdzieżeś, Lysandrze?... Zbiegu, tchórze, błaznie!” - Todd odczytał swoją kwestię.

- Włóż w to więcej siły!

- „GDZIEŻEŚ, LYZANDRZE?... ZBIEGU, TCHÓRZU, BŁAŻNIE!!!” zaryczał Todd.

Doskonale, właśnie tak! - pochwalił Neil. - „Pójdź w lepsze miejsce. Tam swe męstwo zbadasz” - zakończył. Skłonił się nisko.

- Spływam, stary, do zobaczenia przy kolacji. - Obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku bursy.

Todd stał zaskoczony, odprowadzając go wzrokiem. Pokręcił głową ze zdumieniem i wolnym krokiem ruszył do biblioteki.

Podsakując i tańcząc błazeńsko, Neil z radosnym uśmiechem przedzierał się przez zatłoczony korytarz. Niektórzy stukali się na jego widok w czoło, inni patrzyli na niego podejrzliwie. Z impetem otworzył drzwi do swojego pokoju i wpadł do środka, fechtując zawzięcie wyimaginowanym kaduceuszem leśnego duszka.

Nagle stanął jak wryty.

Przy jego biurku siedział ojciec. Neil zbladł. - Ojcze!... - zawołał niepewnie. - Neil, natychmiast masz skończyć z tym całym aktorstwem - warknął ojciec.

- Ale tato, ja...

Pan Perry zerwał się na równe nogi i uderzył pięścią w biurko.

- Ani mi się waży protestować! - krzyknął. - Nie dość, że tracisz czas na jakiś absurdalny teatr, to jeszcze z premedytacją mnie okłamujesz! - rozwścieczony, zaczął chodzić po pokoju.

Neil stał nieruchomo, usiłując opanować mimowolne drżenie kolan.

- Jakim cudem zdawało ci się, że takie kłamstwo nie wyjdzie na jaw? Odpowiadaj! - krzyknął ojciec. - Kto cię do tego namówił? No?! Kto? Może ten Keating?

- Nikt... mnie nie namawiał... - wyjąkał Neil. - Myślałem, że zrobię ci niespodziankę... mam same szóstki i...

- Czy ty naprawdę sądziłeś, że o niczym się nie dowiem? Wczoraj odwiedzili nas Marksowie. „Moja siostrzenica gra razem z pańskim synem w teatrze”, mówi do mnie pani Marks, a ja zaprzeczam, że to niemożliwe, mój syn nie bierze udziału w przedstawieniach teatralnych. Zrobiłeś ze mnie kłamcę, Neil. Kłamcę! - rzucił wzburzonym głosem. - Jutro pójdziesz do tego teatru i powiesz im, że z tym kończysz.

- Ojcze, gram jedną z głównych ról - zaczął drżącym głosem Neil. Jutro wieczorem jest premiera. Proszę, ja muszę...

Ojciec spurpurowiał z wściekłości. Podszedł do syna i mierząc w niego wskazującym palcem wolno i dobitnie powiedział:

- Nic mnie to nie obchodzi! Jutro może być sobie nawet koniec świata! A ty kończysz

z teatrem! Jasne? CZY TO JEST JASNE?

- Tak, proszę ojca - wydusił Neil.

Pan Perry spojrzał na syna posepnym, rozgoryczonym wzrokiem.

- Wiele z siebie daliśmy, byś mógł uczyć się w tej szkole, Neil - powiedział sucho. - Nie zrobisz mi zawodu.

Odwrócił się i wyszedł sztywno z pokoju. Neil długo jeszcze stał jak skamieniały. Potem podszedł powoli do biurka i rozpaczliwie zaczął walić pięściami w blat. Bił coraz mocniej i mocniej, aż poczuł, że drętwiąją mu dłonie, a do oczu napływają łzy. Rozplakał się.

Wieczorem wszyscy kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów”, z wyjątkiem cierpiącego na ból głowy Neila, usiedli przy stołach w refektorium. Jednak czy to kielbasa nie bardzo im smakowała, czy to odczuwali dolegliwości żołądkowe, dość że wszyscy podnosili widelce do ust z wyraźnym trudem. Dr Hager podszedł do ich stołu i przyjrzał się im ze zdziwieniem.

- Co się z tobą dzieje, Dalton? - zapytał Charliego. - Nie smakuje ci jedzenie?

- Smakuje, proszę pana.

Hager uważniej przyjrzał się uczniom.

- Dlaczego wszyscy jecie lewą ręką?

Chłopcy spojrzeli po sobie. Knox postanowił zabrać głos w imieniu całej grupy.

- Pomyśleliśmy, że dobrze jest zmieniać stare nawyki - wyjaśnił zwięźle.

- A cóż jest złego w starych nawykach, Overstreet? - zdziwił się dr Hager.

- Utrwalają automatyczne zachowania w naszym życiu - kontynuował Knox. - I ograniczają swobodę myślenia.

- Overstreet, radziłbym, żebyś więcej uwagi poświęcił dobrym nawykom uczenia się niż starym nawykom zachowania i myślenia. Rozumiemy się chyba, prawda?

- Tak, proszę pana.

- To samo dotyczy was wszystkich, chłopcy. - Dr Hager spojrzał na nich znacząco. - A teraz przełóżcie widelce do prawej ręki.

Posłusznie wykonali polecenie, ale gdy nauczyciel oddalił się na bezpieczną odległość, Charlie przełożył widelec z powrotem do lewej ręki. Pozostali zrobili to samo.

W jadalni pojawił się wreszcie Neil. Podszedł wolno do stołu i usiadł na swoim miejscu, nie patrząc na nikogo. Miał bardzo niewyraźną minę, i koledzy domyślili się, że coś musiało wytrącić go z równowagi.

- Wszystko w porządku? - zapytał Charlie.

- Był u mnie ojciec - Neil odpowiedział krótko, jakby nie trzeba było już nic więcej dodawać.

- Będziesz mógł jutro zagrać? - spytał domyślnie Todd.

- Nie wiem - odparł Neil.

- Może porozmawiasz z Keatingiem? - zasugerował Charlie.

- Co to zmieni? - Neil westchnął posępnie.

Charlie wzruszył ramionami.

- Może coś poradzi - powiedział. - Może pogada z twoim ojcem.

- Chyba żartujesz - parsknął Neil. - Człowieku, nie bądź śmieszny.

Mimo jego wątpliwości, koledzy z uporem utrzymywali, że właśnie Keating może jeszcze coś w tej sytuacji zdziałać. Po kolacji poszli na drugie piętro bursy, gdzie znajdowały się pokoje nauczycieli. Todd, Pitts i Neil stanęli przed pokojem Johna Keatinga. Charlie zastukał do drzwi.

- To nie ma sensu - opierał się jeszcze Neil.

- To lepsze niż siedzenie z założonymi rękami - stwierdził Charlie.

Zastukał po raz drugi, ale w środku było cicho.

- Nie ma go. Wracamy - powiedział Neil z nadzieją w głosie.

Charlie nacisnął klamkę, i drzwi ustąpiły.

- Zaczekajmy na niego w środku - zaproponował, wchodząc do pokoju.

- Charlie! Nuwanda! - wystraszyli się pozostali. - Zwariowałeś? Wylaż stamtąd.

Charlie nie zamierzał jednak rezygnować. Tak gorąco namawiał pozostałych, że w końcu w kandydatach „Stowarzyszenia umarłych poetów” zwyciężyła ciekawość. Solidarnie weszli do królestwa pana Keatinga.

Pokój był mały, robił wrażenie trochę zaniedbanego. Stali niepewnie przy wejściu, przestępując z nogi na nogę, i rozglądali się z zaciekawieniem.

- Nuwanda - odezwał się w końcu Pitts - nie powinniśmy byli tu wchodzić.

Charlie zignorował jego uwagę. Podniósł się z fotela, na którym siedział, i obrzucił pomieszczenie badawczym wzrokiem. Przy drzwiach stał na podłodze niebieski mały neseser. Na łóżku leżało w nieładzie kilka książek, niektóre stare i postrzępione. Na biurku stała oprawiona w ramkę czarno-biała fotografia bardzo ładnej, mniej więcej dwudziestoletniej dziewczyny. Charlie wziął zdjęcie do ręki.

- Ho, ho... ale cizia - rzucił uradowany.

Obok fotografii leżał nie dokończony list. Charlie nachylił się nad zapisaną do połowy kartką papieru.

- „Kochana Jessiko - zaczął głośno czytać. - Bez Ciebie często czuję się tutaj samotny... bla, bla, bla... Jediną rzeczą, jaką mogę zrobić, by choć trochę złagodzić tęsknotę do Ciebie, jest spoglądanie na Twoją fotografię albo przywoływanie w pamięci Twojego promiennego uśmiechu. Jednak wyobrażenie nigdy nie dorówna Tobie rzeczywistej. Bardzo tęsknię i gorąco bym pragnął...”

Skrzypnęły otwierane drzwi. Chłopcy jak na komendę odskoczyli od Charliego. W wejściu stał Keating.

- Dobry wieczór, panie Keating! - krzyknął Charlie trochę zbyt gorliwie. - Miło pana widzieć!

Keating podszedł do niego, ze spokojem wyjął mu z ręki list, złożył go starannie i wsunął do kieszeni marynarki.

- Kobieta jest jak świątynia, chłopcy - powiedział. - Trzeba oddawać jej cześć, kiedy tylko jest to możliwe.

Wyjął z kieszeni list i włożył go do szuflady w biurku. Szufladę zamknął na klucz.

- Czy chciałbyś jeszcze poszperać w jakichś moich rzeczach osobistych, Dalton? - spytał, patrząc z powagą na Charliego.

- Ja... przepraszam - powiedział ze skruchą chłopak. - Ja... to znaczy my... - szukając wsparcia, spojrzął bezradnie na kolegów.

Neil postąpił krok naprzód.

- O, kapitanie mój, kapitanie! Przyszliśmy tu, ponieważ chciałbym porozmawiać z panem o czymś ważnym - wyjaśnił szybko.

- Dobrze - zgodził się Keating, patrząc na całą grupę. - Wszyscy chcecie rozmawiać?

- Właściwie... wolałbym sam - stwierdził Neil, zerkając na kolegów.

Pozostali zrozumieli z ulgą, że mogą już odejść.

- Muszę pędzić do nauki - powiedział Pitts.

- Tak, tak, ja też... Dobranoc, panie Keating - żegnali się, wychodząc i szybko zamykając za sobą drzwi.

- Dobranoc! - krzyknął za nimi Keating. - Zajrzyjcie do mnie, jeśli będziecie mieli ochotę.

- Dziękujemy panu - rozległy się za drzwiami przytłumione głosy.

- Jesteś kompletnie stuknięty, Nuwanda! - Keating usłyszał jeszcze oburzony głos Pittsa. - Po prostu idiota!

- Daj spokój, nie mogłem się powstrzymać - bronił się Dalton.

Nauczyciel bezwiednie się uśmiechnął. Neil krążył po pokoju, przyglądając się

wszystkiemu z ciekawością.

- Do licha - powiedział w końcu - nie dali panu apartamentu, prawda?

- Może nie chcą, aby zbytki zaprzętały mi głowę i przeszkadzały w pracy - Keating uśmiechnął się krzywo.

- Dlaczego pan uczy w szkole? - zapytał Neil. - Wie pan, chodzi mi o ten pomysł z chwytniem dnia i tak dalej. Wydawało mi się, że ktoś taki jak pan podróżuje po świecie, poznaje nowe miejsca...

- Ależ ja właśnie poznaję nowe miejsce, Neil. Ta szkoła to dla mnie zupełnie nowy świat. Zresztą, mówiąc szczerze, takie miejsce jak to potrzebuje co najmniej jednego takiego nauczyciela jak ja. - Keating zaśmiał się, zadowolony z własnego dowcipu. - Czy chciałeś porozmawiać ze mną o zawodzie nauczyciela? Neil wziął głęboki oddech.

- Mój ojciec każe mi zrezygnować z udziału w sztuce, którą wystawiamy jutro w Henley Hall. Teraz, kiedy myślę o „carpe diem” i wszystkich tych naszych pomysłach, to... czuję się, jakby ktoś przykuł mnie do zimnej ściany w lochach. Gra w teatrze jest dla mnie wszystkim, panie Keating. To właśnie chciałbym w życiu robić! Wiem o tym na pewno. Rozumiem także ojca. Moi rodzice nie są tak bogaci jak na przykład rodzice Charliego. Ojciec do wszystkiego doszedł ciężką pracą. Ale... - Neil szukał słów - on zaplanował całą resztę mojego życia, każdy miesiąc, każdy dzień... i nigdy nie zapytał mnie o zdanie.

- Czy powiedziałeś to wszystkemu swojemu ojcu? Tak, jak powiedziałeś to mnie? O teatrze, o sztuce, o swojej nowej pasji?

- Pan żartuje? On by mnie zabił!

- Wynika z tego, że przed ojcem grasz swoją drugą rolę, prawda? - powiedział łagodnie Keating. - Neil - nauczyciel spojrzał spokojnym wzrokiem na swojego ucznia - wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale musisz porozmawiać z ojcem. Musisz powiedzieć mu, jaki naprawdę jesteś, a on musi cię wreszcie poznać.

- Ale ja dobrze wiem, co on mi odpowie. Powie, że aktorstwo to niepoważne fana-berie, że jest głupie, frywolne, demoralizujące i że powinienem natychmiast z tym błaznowaniem skończyć. Powie, że razem z matką bardzo na mnie liczą, że nie mogę im zrobić zawodu i że dla mojego własnego dobra wybije mi to wszystko z głowy.

- Tak... - Keating usiadł ciężko na łóżku. - Jeżeli uważasz, że to rzeczywiście coś więcej niż tylko kaprys, udowodnij to ojcu. Staraj się pokazać mu swoją pasję i zaangażowanie, pokazać, że to właśnie chcesz w życiu robić. To może długo potrwać, i nawet jeśli się nie powiedzie, to przynajmniej będziesz już miał osiemnaście lat i będziesz mógł robić, co sam zdecydujesz.



- Osiemnaście lat! A premiera? Przed jutrzejszym wieczorem na pewno nie skończę osiemnastu lat!

- Porozmawiaj z ojcem, Neil - przekonywał Keating.

- Czy nie ma prostszego sposobu? - jęknął chłopiec błagalnie.

- Nie, jeśli chcesz żyć w zgodzie z samym sobą. Przez dłuższy czas uczeń i nauczyciel siedzieli w milczeniu. Za oknem w ciemności dął jesienny wiatr.

- Dziękuję panu - powiedział w końcu Neil. - Muszę teraz zdecydować, co mam zrobić.

Podczas gdy Neil rozmawiał z Keatingiem, Charlie, Pitts, Knox, Todd i Cameron szli do groty „Stowarzyszenia umarłych poetów”. Prószył pierwszy tego roku, drobny śnieg.

Zatopieni w myślach chłopcy siedzieli, każdy osobno, w różnych kątach groty. Ktoś zapalił świece, ale nikt nie miał ochoty rozmawiać. Nikt nie wypowiedział formuły otwierającej spotkanie, nikt nie rzucił żadnego pomysłu. Charlie zaczął cicho grać na saksofonie. Knox zajął zaciszny, oddalony kąt i mrucząc pod nosem, szukał rymów do wiersza, który od dawna układał dla Chris. Również Todd, siedzący w drugim kącie jaskini, zajęty był pisaniem. Niespożyty Cameron wkuwał trygonometrię. Pitts stał pod ścianą i scyzorykiem rył w niej jakiś cytat z książki, którą trzymał w drugiej dłoni.

Cameron spojrzał na zegarek.

- Za dziesięć minut cisza nocna - przypomniał. Nikt się nie poruszył.

- Co piszesz? - zapytał Todda Knox.

- Nie wiem. Wiersz - odpowiedział Todd.

- Na lekcję?

- Nie wiem.

- Słuchajcie, chłopaki, jeśli zaraz się stąd nie wyniesiemy, dostaniemy nagany, i to zasłużenie. Sami się o to prosimy - powiedział Cameron. - Sypie coraz gęstszy śnieg. Jeszcze trochę i będziemy wracali przez zaspę.

Nikt nie zareagował. Charlie nadal grał na saksofonie, Todd nadal pisał wiersz, Knox nadal tworzył dla Chris, a Pitts nadal dłuwał scyzorykiem w skalnej ścianie.

Cameron wzruszył ramionami.

- Róbcie, co chcecie. Ja wracam - zdecydował. Knox skończył pisać. Odczytał szeptem wiersz i trzepnął się w udo z radości.

- Do diaska! - zawołał. - Co za arcydzieło! Gdyby tylko Chris mogła je przeczytać - jęknął rozmarzony.

- Sam jej przeczytaj - rzucił Pitts, nie przerywając rycia. - Nuwandzie się taka sztuczka

udała.

- Ależ Pitts, ona nie zechce na mnie nawet spojrzeć! - żalił się Knox. - Jeśli do niej zadzwonię, w ogóle nie podejdziesz do telefonu.

- Przesadzasz. Nuwanda wyrecytował Glorii jakąś rymowaną i dziewczyna skoczyła na niego jak szalona... zgadza się, Nuwanda?

Charlie przestał na chwilę grać. Zastanowił się.

- Absolutnie - skonkludował po chwili i znowu podniósł saksofon do ust.

Z oddali do ich uszu dotarł dźwięk bijących w szkolnej kaplicy dzwonów, które obwieszczały ciszę nocną. Charlie skończył grać, pieczołowicie zapakował instrument do futerału, zamknął wieko, zacisnął zatrzaski i nie śpiesząc się wyszedł z grotu. Todd i Cameron spakowali swoje zeszyty i książki. Pitts złożył scyzoryk i schował go do kieszeni. Odszedł krok do tyłu i przyjrzał się swojemu wyrytemu w skale dziełu. Po chwili cała trójka wyszła za Charliem w ciemną, zimną noc. Jedyne Knox stał jeszcze w miejscu i patrząc z namysłem na skreślone przez siebie wersy, zastanawiał się nad czymś głęboko. W końcu starannie złożył kartkę na pół i wsunął ją między strony szkolnego podręcznika. Zdmuchnął świecę i, nagle ożywiony, pobiegł za kolegami. „Udało się Nuwandzie, to i mnie musi się udać”, mówił sobie w myślach.

Wiedział już, w jaki sposób przeczyta Chris swój wiersz.

Przez całą noc sypał śnieg, następnego ranka ziemię pokrywała gruba warstwa białego puchu. Knox wstał bardzo wcześnie. Za oknami mroźny wiatr wzbijał białe tumany, szyby pokryte były srebrzystym szronem. Ubrał się ciepło i wyszedł z bursy. Podszedł do swojego roweru, odgarnął z niego śnieg i wyprowadził na nie odśnieżoną jeszcze drogę. Wskoczył na siodełko i ruszył z weltońskiego wzgórza ku miasteczku, do szkoły Ridgway High.

Kiedy dojechał na miejsce, zostawił rower w pobliżu głównego wejścia i nie zabezpieczając go nawet, wpadł jak bomba do zatłoczonego holu. Przez chwilę stał bezradnie. W holu panował nieopisany zgiefk. Uczniowie biegali, potrącali się wzajemnie, popędzali, pokrzykiwali coś do siebie, szukali swoich szafek, wieszali w nich płaszcze, przygotowywali podręczniki na najbliższą lekcję, żartowali, psocili, a co najgorsze, przesłaniali Knoxowi cały widok.

Knox zaczął przeciskać się przez tłum, rozglądając się gorączkowo. W końcu zatrzymał się zrezygnowany i poprosił o pomoc stojącego obok niego chłopca, który wskazał mu drogę. Przeszedł szybko do schodów i wbiegł na pierwsze piętro. Było tam nieco spokojniej niż na dole.

- Chris! - krzyknął, gdy dostrzegł ją stojącą w grupce dziewcząt.

Znalazł się przy niej w jednej chwili.

- Knox! Co ty tu robisz? - zapytała, odciągając go na bok, daleko od koleżanek.

- Przyjechałem, żeby przeprosić cię za moje zachowanie na przyjęciu i... napisałem dla ciebie wiersz, i... przyniosłem ci to.

Knox wyjął zza pleców bukiet zwarzonych mrozem żółtych różyczek. Chris otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, ale nie sięgnęła po kwiaty.

- Jeśli Chet cię tu zobaczy, to cię zabije, nie rozumiesz tego? - powiedziała z rozpaczą.

- Nic mnie to nie obchodzi - Knox potrząsnął zapalczywie głową. - Kocham cię, Chris - wyznał. - Zaslługujesz na kogoś lepszego niż Chet. Proszę, przyjmij ten bukiet.

- Knox! Chyba kompletnie zwariowałeś - powiedziała szybko.

Zadzwoił dzwonek na lekcję. Uczniowie powoli zaczęli wchodzić do klas.

- Chris, proszę cię... Wiem, że zachowałem się jak szczeniak... wiem. Weź kwiaty. Proszę! - błagał Knox.

Chris spojrzała niepewnie na różyczki.

- Nie - pokręciła w końcu głową. - I proszę, przestań za mną chodzić!

Obróciła się na pięcie i weszła do klasy, zamykając za sobą drzwi. Knox został sam na opustoszałym, cichym korytarzu. W wyciągniętej ręce ścisnął zmizerowane kwiaty. W drugiej dłoni chował kartkę z wierszem. Wahał się krótką chwilę, nie odrywając wzroku od zamkniętych drzwi, za którymi zniknęła Chris. W końcu zrobił zdecydowany krok naprzód, otworzył je energicznym ruchem i wszedł do środka.

W klasie panował jeszcze hałas. Uczniowie siadali na swoich miejscach i układali na ławkach książki i zeszyty. Knox odszukał wzrokiem Chris. Podeszedł do niej, mijając po drodze nauczyciela, który rozmawiał z jakimś uczniem przy swoim biurku.

- Knox! - przeraziła się Chris. - Co ty wyprawiasz!

- Chciałbym tylko, żebyś czegoś wysłuchała - powiedział, rozprostowując kartkę. - To nie potrwa dłużej niż minutę.

Kiedy zaczął czytać, nauczyciel umilkł i spojrzał na niego zaskoczony. Ucichli również wszyscy uczniowie. Zdumieni patrzyli na nieznanego chłopaka, który stał pośrodku klasy w mokrej od topniejącego śniegu kurtce i ścisnął w dłoni bukiet oklapłych różyczek.

*Zrodziła się w niebie dziewczyna imieniem Chris*

*O skórze złotej i jasnych z aksamitu włosach.*

*Tej skóry tknąć to Rajski by mógł Ogród być,*

*Lecz pocałować ją? Rozkoszy Nieprzebrane Morza.*

Chris zaczerwieniła się jak piwonია i ukryła twarz w dłoniach. Jej koleżanki i koledzy, z trudem powstrzymując chichot, zaczęli rzucać na siebie znaczące spojrzenia. Knox czytał dalej.

*Stworzono boginię! Przepiękne imię dano jej:*

*Chris. Jak? Nigdy się tego nie dowiem.*

*Choć dusza moja w okrutnej męce drży*

*To miłość moja ogromnieć już tylko może.*

Knox czytał tak, jakby byli z Chris zupełnie sami, na jakimś odległym, niedostępnym górskim szczycie.

*Ach! Słodczych widzę w jej uśmiechu,*

*A w oczach ciepły słońca blask.*

*Lecz oto życie me dobiegło kresu,*

*Szczęśliwy jestem, że Ona wiecznie trwa.*

Knox opuścił kartkę i spojrzał błagalnym wzrokiem na dziewczynę. Potwornie zawstydzona, spoglądała na niego przez palce i nie odzywała się słowem. Knox położył przed nią na ławce kartkę z wierszem i bukiet zmarzniętych różyczek.

- Kocham cię, Chris - powiedział i wyszedł z sali.

## ROZDZIAŁ XII

Knox wypadł jak szalony z budynku Ridgway High, wskoczył na rower i co sił w nogach popedałował ośnieżoną drogą do Akademii Weltona, chowając głowę przed podmuchami wiatru. W tym samym czasie koledzy z jego klasy kończyli właśnie pierwszą lekcję, język angielski. Tłoczyli się przed biurkiem Keatinga, śmiejąc się z czegoś głośno, gdy zaterkotał dzwonek.

- To tyle na dzisiaj, panowie - obwieścił Keating, zamykając z trzaskiem książkę.

Niektórzy jęknęli cicho, żałując w duchu, że muszą teraz przejść na nudne wykłady „szkockiego” łacinnika, McAllistera.

- Neil, chciałbym zamienić z tobą parę słów - powiedział Keating, gdy chłopcy pakowali swoje książki i zmyślali do wyjścia.

Neil został przy biurku. Nauczyciel poczekał, aż zamkną się drzwi za ostatnim uczniem.

- Co powiedział ojciec? Rozmawiałeś z nim? - zapytał.

- Tak - skłamał Neil.

- Naprawdę? - ucieszył się Keating. - Powiedziałeś mu to wszystko? O swojej pasji i miłości do teatru?

- Taak - Neil czuł, jak jego kłamstwo zaczyna się rozrastać. - Nie spodobało mu się to oczywiście, ale pozwolił mi zagrać w sztuce. Sam niestety nie będzie miał czasu, by przyjść na premierę. Musi jechać do Chicago w sprawach służbowych. Wydaje mi się, że pozwoli mi zajmować się aktorstwem, no, oczywiście pod warunkiem, że będę miał w szkole bardzo dobre oceny.

Neil, jak tylko mógł, unikał wzroku Keatinga. Po tych wszystkich kłamstwach tak szumiało mu w głowie, że nie słyszał nawet słów nauczyciela. Chwytał swoje książki i mamrocząc, że ma mało czasu, wyszedł szybko z klasy. Keating odprowadził go zdziwionym wzrokiem.

Gdy Knox dobiegł wreszcie do szkoły, porzucił rower w śnieżnej zaspie koło szkolnej kuchni, na tyłach budynku, i bocznym wejściem wbiegł do środka. Był zziębnięty i zmęczony, ale szczęśliwy. Poczł kuchenne zapachy, ciepło płynące z rozpalonych piekarników i kotłów. Rozejrzał się łakomie dookoła i dostrzegłszy w zasięgu ręki łatwy łup, capnął gorący jeszcze rogalik. Dotarł pod klasę dokładnie w chwili, gdy uczniowie

przechodzili na drugą lekcję. Knox natychmiast wyłowił wzrokiem swoich przyjaciół.

- Jak poszło? - zapytał Charlie. - Przeczytałeś jej?

- Jasne! - Knox uśmiechnął się szeroko, przełykając ostatni kęs słodkiego rogalika.

- Brawo! - Pitts walnął go w plecy. - Co powiedziała?

- No... nie wiem - odparł Knox.

- Co to znaczy „nie wiem”? - zdziwił się Charlie.

Zanim Knox zdołał cokolwiek wyjaśnić, chłopcy otoczyli go ciasnym kołem, wepchnęli do klasy i zamykając drzwi, kazali sobie wszystko dokładnie opowiedzieć. „Tylko od samego początku, Knox”, zastrzegł Charlie.

Wieczorem tego samego dnia uczniowie Akademii zebrali się w głównym holu, czekając na pana Keatinga, z którym jechali na premierowe przedstawienie „Snu nocy letniej” w szkole Henley Hali. Knox siedział wciśnięty w fotel, ciągle rozpamiętując poranne spotkanie z Chris. Był uszczęśliwiony, ale jednocześnie dziwnie niepewny skutków swojego pomysłu.

- Gdzie Nuwanda? - denerwował się Meeks. - Jeśli zaraz nie pojedziemy, to spóźnimy się na pierwsze wejście Neila!

- Wspominał coś o malowaniu się na czerwono - wyjaśnił Pitts i pokręcił głową z westchnieniem.

- Co za malowanie! O co chodzi? - pytał Cameron.

- Skąd mogę wiedzieć? Znasz przecież Charliego - odpowiedział Pitts.

Charlie zbiegał właśnie w pośpiechu po schodach.

- Co z tym paćkaniem się na czerwono? - zapytał Meeks, lustrując go od stóp do głowy.

Charlie rozejrzał się ostrożnie dookoła i rozpiął koszulę. Na piersi miał wymalowaną strzałkę w kształcie błyskawicy. Rzecz jasna, czerwoną farbą.

- Po co to? - dopytywał się Todd.

- To indiański znak wojenny, symbolizujący męskość. Daje mi poczucie potencji. Teraz każdą dziewczynę mógłbym doprowadzić do szaleństwa.

- O rany, Nuwanda, a gdyby ona to zauważyła? - zapytał Pitts.

- To by nawet było lepiej! - Charlie mrugnął porozumiewawczo.

- Jesteś szalony! - skwitował Cameron, dołączając do wychodzących z budynku chłopców.

W drzwiach natknęli się niespodziewanie na wchodzącą właśnie do środka Chris.

Widząc ją, Knox poczuł, jak uginają się pod nim kolana..

- Chris! - serce zaczęło mu walić jak młotem.

- Knox, dlaczego mi to robisz? - zapytała go z wyrzutem.

Zbity z tropu taką bezpośredniością, Knox rozejrzał się niepewnie dookoła.

- Chris, nie powinnaś się tu pokazywać! - powiedział, odciągając ją na bok.

W holu pojawił się gotowy do drogi Keating i dołączył do wychodzących chłopców.

- Szybciej, szybciej, ferajna! - pokrzykiwał.

- Zaraz do was dołączę - zawołał Knox i wyprowadził Chris na ośnieżony, pogrążony w ciemności dziedziniec. - Jeżeli zobaczy cię jakiś nauczyciel, oboje znajdziemy się w niezłych tarapatach - mówił, szcękając zębami, z zimna i z emocji.

- Proszę, proszę! Ale kiedy ty przychodzisz do mojej szkoły, awanturujesz się i przed całą klasą robisz ze mnie kompletną idiotkę, to wszystko jest okey, tak? - krzyczała zdenerwowana.

- Ciiiiszej... - szepnął przerażony Knox. - Uspokój się. Wcale nie chciałem robić z ciebie kompletnej idiotki - tłumaczył.

- Ale całkiem ci to niezłe wyszło! Chet już o wszystkim wie. Jest nieprzytomnie wściekły. Nie wiem nawet, jakim cudem udało mi się powstrzymać go przed przyjściem tutaj i zabiciem ciebie! Musisz z tym skończyć, Knox!

- Ale ja cię kocham.

- W kółko to powtarzasz, a nawet mnie nie znasz! Rozległ się klakson szkolnego mikrobusu. Keating i chłopcy siedzieli już w środku, zniecierpliwieni czekaniem na Knoxa.

- Jedźcie beze mnie! - krzyknął Knox w stronę mikrobusu. - Pójdę pieszo!

Samochód ruszył. Knox odwrócił się do dziewczyny i spojrzał jej w oczy.

- Oczywiście, że cię znam - powiedział. - Od kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, wiedziałem, że masz piękną duszę.

- Tak po prostu? - powątpiewała Chris.

- Jasne, że tak po prostu! To jest tak, że w jednej chwili, na podstawie pierwszego wrażenia poznajesz prawdę o człowieku.

- A nie przyszło ci do głowy, że to wrażenie mogło być zwodnicze? A poza tym, może mi w ogóle na tobie nie zależy?

- Wtedy nie przychodziłabyś tu, żeby ostrzec mnie przed Chetem - zauważył Knox.

Chris westchnęła ciężko. Przez chwilę rozmyślała nad czymś w milczeniu.

- Słuchaj - powiedziała wreszcie - muszę już iść, bo spóźnię się na przedstawienie, ale...

- Idziesz na przedstawienie? - przerwał jej Knox. - Z Chetem?

- Z Chetem na przedstawienie teatralne? Żartujesz!

- Chodźmy więc we dwoje - zaproponował Knox.

- Knox, denerwujesz mnie.

- Daj mi szansę. Tylko ten jeden raz. Jeśli nie spodoba ci się dzisiejszy wieczór, zostawię cię w spokoju. Na zawsze.

- Cha... cha - powiedziała z uśmiechem.

- Obiecuj! Na honor „umarłych poetów”! Chodź dzisiaj ze mną. Jeśli później nie będziesz chciała mnie już więcej widzieć, zaklinani się, że zniknę ci z oczu na dobre.

Chris spojrzała na niego z wahaniem.

- Boże, gdyby Chet się o tym dowiedział...

- Chet nigdy się o tym nie dowie - zapewnił Knox stanowczym głosem. - Wejdziemy w ostatniej chwili, zajmiemy tylne miejsca, a gdy tylko przedstawienie dobiegnie końca, wymkniemy się chyłkiem ze szkoły.

- Knox, jeśli obiecasz mi, że to będzie ostatni raz i że później z tym skończysz...

- Słowo „umarłych poetów”! - powiedział, podnosząc w górę dłoń.

- Co to za słowo? - zdziwiła się Chris.

- To moje słowo. - Knox położył rękę na sercu i spojrzał z powagą na dziewczynę..

Westchnęła bezradnie i ociągając się trochę, podała Knoxowi ramię. Nie śpiesząc się, ruszyli w kierunku Henley Hall.

Gdy weszli do auli. Keating i pozostali chłopcy siedzieli już w pierwszych rzędach. Chris i Knox, starając się nie robić hałasu, usiedli z brzegu w ostatnim rzędzie krzesel. Kilka głów spod sceny jak na komendę odwróciło się w ich kierunku. Choć na widowni było ciemno, Knox zobaczył, że Pitts i Charlie dają mu porozumiewawcze znaki.

Rozpoczęło się przedstawienie. Kiedy w drugim akcie Neil-Puk wyszedł na scenę, w wieńcu z zielonych gałązek na głowie, kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” przywitani go burzą braw. Neil zerknął na widownię, czując nagły przyływ tremy. Todd zacisnął kciuki.

- „Witajże, duchu! Dokąd to wędrujesz?” - zaczął Neil.

- „Przez wzgórza, rozłogi,/ Przez krzaki, przez głogi” - odpowiadał mu chłopiec grający ducha.

Keating wyciągnął w stronę Neila rękę z uniesionym kciukiem.

- „Zgadłeś. Jam to żartobliwy / Nocny wędrowiec. Ja wyprawiam dziwy/ Ja bawię króla, daję śmiechu hasło./ Gdy rżąc jak źrebię zwiodę klacz opasłą.”



Patrzyli, jak Neil z lekkością wczuwa się w rolę, jak jest autentycznie zabawny i wywołuje salwy śmiechu na widowni. Todd w napięciu szeptał kolejne kwestie, równoległe z Neilem, jakby w magiczny sposób miało to pomóc koledze. Ale Neil nie potrzebował niczyjej pomocy.

- On jest naprawdę dobry. Naprawdę! - szeptał Charlie.

Po chwili na scenie pojawili się Lysander i Hermia, którą grała siostra Cheta, Ginny Danburry. Ginny miała na sobie kostium wykonany z samych liści i gałązek. Wyglądała uroczo.

- „Jeśli chcesz, spoczniesz, zanim nam przyniesie Jutrzenka ulgę z miłą dnia swobodą.” - mówił Lysander.

- „Zgoda. Znajdź sobie na uboczu łożę,/ Gdyż ja mam głowę na tej smudze złożyć.” - odpowiadała Hermia.

Charlie mrużąc oczy zajrzał do programu, usiłując w wątym świetle padającym ze sceny odczytać nazwisko aktorki grającej Hermie. „Ginny Danburry”, zamruczał do siebie. „Jakże piękna dziewczyna”, westchnął w myślach.

- „Lecz przez twą miłość i przez dbałość o mnie, Połóż się dalej... Tak, po ludzku, skromnie,/ Jaką przystojność dzieli się granicą/ Między cnotliwym chłopcem a dziewicą/ Taką się odsuń. Dobranoc, kochanie, Dotrwaj w miłości, póki życia stanie.” - mówiła Hermia, kładąc się do snu.

Charlie patrzył na dziewczynę, wyraźnie urzeczony. W czasie gdy Hermia i Lysander przygotowywali się do spoczynku, Neil stał niewidoczny za sceną i przez szpary w dekoracjach, podekscytowany obserwował widownię. Nagle znieruchomiał.

Z tyłu, przy samym wejściu stał jego ojciec. Neil poczuł, jak zatłukło mu serce, ale zaraz odzyskał spokój. Za chwilę miał znowu wyjść na scenę.

- „Niech sen twe oko całym tchnie spokojem.” - mówił Lysander do Hermii.

- „Oby połowa spoczęła na twojem.” - odpowiedziała, układając się do snu.

Lysander i Hermia spali głębokim snem, dopóki ciche skrzypcowe interludium nie obwieściło nadejścia Puka.

W finałowej scenie biesiady Neil-Puk stąpając lekko szedł przez scenę, roztaczał wokół siebie magiczną aurę, porywał emanującym z niego radosnym uniesieniem. Dołączyły do niego pozostałe postacie dramatu. Charlie jak zauroczony wodził wzrokiem za promienną Hermią. Pan Keating, Todd i pozostali chłopcy, oczarowani śledzili ostatni akt. Jedyne Knox, który w niemym zachwycie patrzył tylko na Chris, nie korzystał z okazji poszerzenia kulturalnych horyzontów. Ale i Chris zdawała się mieć głowę bardziej zaprzątniętą swoim

nowym kolegą niż starym Szekspirem.

Gdy umilkły skrzypce i scena biesiady dobiegła końca, Neil samotnie stanął przed widownią, by wygłosić ostatnią kwestię. Zwracał się do wszystkich, ale w głębi duszy pragnął skierować wypowiedane słowa do swojego ojca, który stał ciągle z tyłu, pod ścianą, nie chcąc nawet usiąść.

*Gdyśmy zbłądzili, my, cienie,  
Rzecz się cała wraz ocali,  
Tylko myślcie, żeście spali,  
Gdy się snuło to marzenie.  
Na czczy przedmiot, liche baśnie,  
Co się tylko kończą na śnie,  
Miejcie wzgląd. Gdy przebaczycie,  
Odplacimy wam sownie.  
Puk uczciwy, ręczyć gotów,  
Że gdy szczęściem, nie zasługą,  
Unikniem dziś węży grotów,  
Nagrodzim wam niezadługo;  
Inaczej - łgarzem mnie głóście.  
Więc dobranoc, mili goście.  
Kłaśnijcie, gdyście łaskawi,  
A Puk lepiej wnet się sprawi.*

Kiedy skończył i zapadła kurtyna, zerwała się burza oklasków. Wszelkie wątpliwości, jakie chłopcy mogli mieć wcześniej wobec aktorskich zdolności Neila, zostały teraz rozwiane. Wstali ze swoich miejsc, by wielkim i entuzjastycznym aplauzem nagrodzić go za jego pracę i talent. Kolejne rzędy na widowni przyłączały się do owacji na stojąco, kilkakrotnie wywołując aktorów przed kurtynę.

Występując kolejno z szeregu, młodzi aktorzy kłaniali się głęboko. Olbrzymie brawa otrzymała Ginny, a najgłośniej klaskał, wykrzykując przy tym jej imię, rozemocjonowany Charlie. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego serdecznie. Knox tymczasem uśmiechał się do Chris. W pewnej chwili przestał klaskać i ujął ją za rękę. Nie cofnęła dłoni. Kiedy przyszła kolej na Neila, kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” zerwali się, wiwatując szaleńczo i krzycząc na przemian: „Neil!” i „Puk!”

W końcu aktorzy zeszli z podium do rodzin i znajomych na widowni, niektórzy widzowie z kolei wchodzili z gratulacjami na scenę.

- Rodziny i najbliżsi przyjaciele mogą spotkać się z bohaterami naszego spektaklu w holu głównym! - ogłosił przez mikrofon dyrektor szkoły, próbując zapanować nad sytuacją.

- Neil! - krzyknął Todd. - Spotkamy się w holu. Byłeś genialny!

Na scenie, przy Ginny Danburry kłębił się tłumek jej nowo pozyskanych wielbicieli. Lekceważąc dyrektorskie zalecenia, Charlie wskoczył na estradę. „Byłaś wspaniała!”, usłyszał komplement któregoś z adoratorów. Zauważył, że Lysander obejmuje Ginny w talii.

- Moje gratulacje, Ginny! - powiedział Lysander, całując ją w policzek. Nie zrażony tym Charlie torował sobie ku niej drogę.

- Z twoich oczu bije światło - powiedział z absolutną powagą, gdy stanął przed młodą aktorką.

Ginny dostrzegła tę powagę i odwzajemniła się serdecznym uśmiechem. Długo patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie zrezygnowany Lysander uśmiechnął się niezręcznie i zostawił ich samych.

W męskiej garderobie za kulisami rozradowani aktorzy nosili na ramionach Neila, wciąż jeszcze w zielonym stroju Puka. Nagle do garderoby weszła reżyserka. Miała bardzo zakłopotaną minę. Wszyscy umilkli.

- Neil - powiedziała cicho do chłopca. - Twój ojciec.

Neil zsunął się z ramion kolegów. Wolnym krokiem wyszedł na korytarz, zabierając po drodze płaszcz i czapkę. Ojciec ciągle stał pod ścianą z tyłu. Neil zdjął z głowy wieniec leśnego duszka i zeskoczył ze sceny. Szedł powoli w kierunku ojca. Teraz czekała go trudniejsza próba.

Zauważył go Charlie, na krok nie odstępujący Ginny.

- Hej, Neil! - zawołał.

Ale Neil się nie odwrócił. Charlie dostrzegł w drugim końcu sali pana Perryego. Zobaczył, jak Neil wita się z ojcem, i zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Bez namysłu chwycił Ginny za rękę i pociągnął ją za sobą ze sceny.

Keating wraz z chłopcami czekał na Neila w głównym holu.

- Witam was - powiedział Knox, wreszcie do nich dołączając. - Pozwólcie, że przedstawię wam Chris!

- Ooch... duuużo o tobie słyszeliśmy - przywitał ją Meeks, ale gdy Knox rzucił na niego mordercze spojrzenie, zająknął się. - To znaczy... no... chciałem powiedzieć... - plątał się bezradnie.

Drzwi auli otworzyły się nagle z hukiem i pojawił się w nich pan Perry, który prowadził Neila przed sobą, niczym złapanego na gorącym uczynku przestępcę. Zaraz za nimi wyszli Charlie i Ginny. Niektórzy stojący w holu widzowie zbliżyli się do Neila z gratulacjami i zagadywali przyjaźnie. Todd usiłował przedrzeć się przez tłum.

- Neil, udało ci się wspaniale! To było wielkie, Neil! - krzyczał w jego kierunku.

- Urządzamy przyjęcie! - krzyknął Knox.

Neil odwrócił się do wszystkich.

- Nie będę mógł przyjść - powiedział posępnym głosem.

Keating doskoczył do Neila i chwycił go za ramiona.

- Neil, byłeś znakomity. Byłeś naprawdę dobry! - mówił z przejęciem.

Ojciec Neila odepchnął ręce Keatinga.

- Słuchaj pan, panie Keating. Niech się pan trzyma z dala od mojego syna! - warknął nienawistnie.

Zrobiło się cicho. Pan Perry wyprowadził syna na zewnątrz, doszedł z nim do samochodu i wepchnął go do środka, głośno zatrzaskując drzwi. Charlie poderwał się, by pobiec tam i bronić Neila, ale Keating powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie pogarszaj sytuacji, Dalton - powiedział smutno.

Pan Perry zapalił silnik i samochód powoli wyjechał na ulicę. Neil patrzył na chłopców zza ciemnej szyby, po której spływały strużki topniejącego śniegu. Wyglądał jak więzień prowadzony na egzekucję.

- Neil!!! - krzyknął za odjeżdżającym samochodem Todd.

Kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów” stali, głęboko poruszeni i milczący. Długo nikt nie ruszał się z miejsca. Pierwszy otrząsnął się Charlie.

- Czy możemy wrócić na piechotę? - zapytał Keatinga.

- Oczywiście - odparł wyrwany z zamyślenia nauczyciel.

Chłopcy wraz z Chris i Ginny wyszli cicho z holu. Keating długo odprowadzał wzrokiem „umarłych poetów”, których postacie powoli roztapiały się w ciemnościach. Poczuł nagle, jak bardzo są mu bliscy.

## ROZDZIAŁ XIII

Pani Perry siedziała na fotelu w pracowni męża zastawionej wysokimi regałami, na których w równych rzędach stały grube książki. Oczy miała zapuchnięte od płaczu. Wzrok wbiła w podłogę. Pan Perry siedział sztywno przy swoim biurku. Nie odzywali się do siebie słowem.

Skrzypnęły cicho drzwi i do pokoju wszedł ubrany w kostium Puka Neil. Jego oczy były czerwone od łez. Spojrzał na matkę i zaczął coś mówić, ale pan Perry przerwał mu ostro.

- Synu, od dłuższego czasu staram się zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, by postępować wbrew woli swoich rodziców. Nie wiem. Ale bez względu na kierujące tobą powody, nie pozwolę, byś zrujnował sobie życie. Jutro wypiszę cię z Akademii Weltona i przeniosę do Akademii Wojskowej Bradena. Potem pójdziesz do Harvardu i zostaniesz lekarzem.

Oczy Neila znowu zaszkliły się łzami.

- Ojciec - powiedział błagalnym głosem - to jeszcze dziesięć następnych lat nauki... Czy tato nie rozumie? To dożywocie!

- Masz możliwości, o jakich mnie nawet się nie śniło! - krzyknął ojciec. - I nie pozwolę ci ich zmarnować!

Pan Perry wyszedł z pokoju ciężkim krokiem.

Matka Neila spojrzała na syna zmoczonym wzrokiem. Westchnęła głośno, jakby chciała mu jeszcze coś powiedzieć, ale nie odezwała się słowem i kręcąc bezradnie głową wyszła za mężem.

Neil został sam, zupełnie wyczerpany rozpaczą, próbował nie myśleć o przyszłości, którą tak dokładnie zaplanował dla niego ojciec.

Kandydaci „Stowarzyszenia umarłych poetów”, zamiast pójść do Akademii, postanowili spędzić jeszcze trochę czasu w grocie. Todd, Meeks, Pitts, Charlie i Ginny oraz Knox i Chris siedzieli wokół świecy zapalanej na bożku jaskini. Charlie trzymał w ręku szklaneczkę z winem, obok niego stała opróżniona butelka. Chłopcy wpatrywali się ponuro w skaczący płomyk, symbolizujący w ich oczach Neila, który przyniósł statuetkę do jaskini.

- Knox - odezwała się Chris - muszę wracać do domu. Chet może zadzwonić w każdej chwili.

- Jeszcze trochę, Chris - Knox ścisnął delikatnie jej dłoń. - Obiecałaś.

- Och, Knox... nie denerwuj mnie - powiedziała z uśmiechem.

- Gdzie jest Cameron? - zapytał Meeks.

- Kto go tam wie - rzucił sucho Charlie, dopijając wino. - I kogo to obchodzi.

Todd zerwał się nagle i zaczął bić pięściami o skalną ścianę.

- Jak zobaczę następnym razem ojca Neila, to jak Boga kocham, zdzieję go po mor-  
dzie. Nie obchodzi mnie, co się ze mną potem stanie! - krzyknął rozżalony.

- To by nie było zbyt mądre - stwierdził Pitts.

Todd chodził nerwowo po grocie. Nie mógł się uspokoić. Nie przestawał myśleć o tym, co dzieje się teraz z Neilem.

Nagle w wejściu do jaskini pojawiła się oświetlona blaskiem księżyca twarz pana Keatinga.

- Pan Keating! - krzyknęli zaskoczeni.

Charlie szybko schował za plecy szklaneczkę i butelkę po winie.

- Przypuszczałem, że was tu znajdę - powiedział Keating. - Moi drodzy, nie wolno zwieszać nosa na kwintę. Neil by na to nie pozwolił.

- A może byśmy na jego cześć odbyli specjalne spotkanie „umarłych poetów”? - zaproponował nagle Charlie. - Kapitanie, czy poprowadziłby je pan?

Chłopcy przyłączyli się do niego gorąco.

- Sam nie wiem... - wahał się Keating.

- Bardzo prosimy, proszę pana... - nalegał Meeks. Keating spojrzał chłopcom w oczy.

- No dobrze, ale to będzie króciutkie spotkanie - ustąpił. Zastanowił się przez chwilę, a potem wypowiedział formułę otwarcia. - „Poszedłem do lasu, wybrałem bowiem życie z umiarem... Chcę żyć pełnią życia. Chcę wyssać wszystkie soki życia! By zgromić wszystko to, co życiem nie jest, i by nie odkryć tuż przed śmiercią, że nie umiałem żyć”.

Zamilkł na chwilę.

- Wiersz pana E. E. Cummingsa:

*zglebij marzenia*

*bo slogan cię pożre inaczej*

*(drzewa są własnymi korzeniami*

*a wiatr jest wiatrem)*

*sercu zaufaj*

*gdy morza ogień ogarnie (i żyj miłością*

*choć gwiazdy pędzą wspan)*

*czcij przeszłość  
lecz przyszłość z radością przyjmij  
(do tańca z własną śmiercią pójdz  
na waszym weselu)  
nie przejmuj się światem  
jego lotrami i bohaterami  
(bo bóg kocha dziewczyny  
i ziemię i dzień jutrzejszy)*

Keating skończył czytać i spojrzał na chłopców.

- Kto czyta następny? - zapytał.

Nikt się nie odezwał.

- Dalejże, chłopcy. Nie wierzę, że jesteście tacy nieśmiali - zachęcał.

- Może ja coś przeczytam - zgłosił się Todd.

- To, co pisałeś tu wczoraj? - zapytał Charlie.

- Tak.

Chłopców zdumiało to, że Todd sam się zgłosił. Nigdy nie chciał czytać nawet cudzych wierszy. Todd wstał i wygrzebał z kieszeni kilka zmiętych kartek. Każdemu dał jedną do ręki.

- Na mój znak przeczytacie to głośno razem - powiedział i zaczął czytać swój wiersz.

*Marzy nam się jutro, ale jutro nie przychodzi;  
Marzy nam się chwałą, której przyjąć nie chce nikt.  
Marzy nam się nowy dzień, choć dzień nowy już za  
nami;  
Uciekamy z pola bitwy, tej jedynej, którą trzeba  
stoczyć nam.*

Todd skinął głową.

- „I ciągle śnimy” - odczytali wszyscy zgodnym chórem.

*Czekamy na wezwanie, lecz nigdy naprawdę,  
W przyszłości swą nadzieję mamy, a przyszłość  
planem tylko jest*

*Marzymy o mądrości, co z rąk nam się wymyka co  
dzień,  
Modlimy się do zbawcy, choć zbawienie w naszych  
rękach wre.*

*I ciągle śnimy.*

*I ciągle śnimy.*

*I ciągle śnimy.*

*I w strachu ciągle drżymy...*

Todd zrobił krótką pauzę. - „I ciągle śnimy” - zakończył. Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Chłopcy zaczęli bić brawo.

- To było kapitalne! - krzyczał Meeks.

Rozpromieniony Todd z zażenowanym uśmiechem przyjmował gratulacje i przyjacielskie poklepywanie po plecach. Keating uśmiechał się, rozmyślając, jak wielki krok do przodu zrobił jego uczeń. Nie tylko w sztuce pisania wierszy. Odłamał zwisający ze stropu ogromny sopel lodu i wpatrzył się weń z udawanym napięciem.

- Trzymam w dłoniach kryształową kulę. Widzę w niej wielkie czyny, których dokona Todd Anderson - powiedział donośnym głosem.

Todd stanął przed swoim nauczycielem i nagle, zupełnie niespodziewanie padli sobie w objęcia.

Keating odwrócił się do chłopców.

- A teraz, uwaga! - zawołał. - „Generał William Booth wkracza do nieba” pióra Vachela Lindsaya. Kiedy zrobię małą pauzę, głośno pytajcie: „Czy ciebie też obmyła Baranka krew?”, jasne?

Przytaknęli ochoczo.

Keating zaczął czytać:

- „Wściekle się Booth umiał bić, gdy werbli zabrzmiał zew...”.

Pozostali powiedzieli chórem:

- „Czy ciebie też obmyła Baranka krew?”

Keating wyszedł z groty, wiodąc za sobą radosny orszak. Idąc do Akademii Weltona, recytowali na głos wiersze.



Podczas gdy przyjaciele Neila czcili w grocie jego sukces, on siedział samotnie przy oknie w swoim pokoju i pustym wzrokiem patrzył w noc. W jednej godzinie opuściła go pasja, energia i nadzieja. Na jego pobladłej twarzy nie malowało się żadne uczucie. Wydawało mu się, że jest pustą muszlą, którą za chwilę zgniecie ciężar coraz gęściej sy-  
piącego śniegu.

## ROZDZIAŁ XIV

Księżyc w pełni, bezchmurne niebo usiane tysiącem gwiazd. Noc była czysta i zimna. Szli ocierając się o gałęzie, z których zwieszały się cienkie sople. Pierwszy tego roku siarczysty mróz zmienił las w krainę połyskujących diamentów. Keating wciąż recytował:

- „Gdy w niebie Booth zjawił się, chór świętych rzekł: już jest!”

- „Czy ciebie też obmyła Baranka krew?” - zapytał chór.

- „Za nim wlokła się armia trądem skażonych ciał, Dalej zbiry i dziewczki, które, kto chciał, to miał./ Z zaułków i rynsztoków, gdzie występki się kryły/ szły serca pełne męki, dusze rozbite w pył.”

- „Czy ciebie też obmyła Baranka krew?” - powtórzył chór.

Podczas gdy „Stowarzyszenie” maszerowało przez nieruchomy las, w domu państwa Perrych panowała złowieszcza cisza. Pan Perry i jego żona leżeli już w łóżku. Zmęczeni, zgasili nocne lampki i ułożyli się do snu. Nie słyszeli, jak w pokoju obok cicho skrzypią otwierane drzwi. Neil wyszedł ze swojej sypialni. Na palcach doszedł do schodów.

Ten sam księżyc, który idącym przez las wskazywał drogę do Akademii Weltona, rozjaśniał bladą poświatą pracownię pana Perryego. Neil podszedł do biurka i otworzył górną szufladę. Sięgnął do niej głęboko i po chwili wyjął mały kluczyk, którym ostrożnie otworzył zamek w szufladzie poniżej. Usiadł wygodnie na obitym skórą krześle, podniósł z biurka wieniec Puka, który tam wcześniej zostawił, i powoli włożył go sobie na głowę.

Keating i reszta zatrzymali się przed zamrażającym wodospadem. Patrzyli z zachwytem na niesamowitą jodową rzeźbę, która zdawała się przeczyć prawom grawitacji. Niebo było wprost niewiarygodnie czyste. Na śniegu kładła się niesamowita, widmowa poświata. Keating zaczął recytować dalszy ciąg poematu:

*Przez tłumy, co klęczały u progu niebieskich bram  
zbliżał się do żołnierzy łagodny Chrystus Pan.  
Booth spojrział, Jezus spojrział, trwali tak kilka chwil  
i wiarus z płaczem klęknął, bo w świętym miejscu był.\**

- „Czy ciebie też obmyła Baranka krew?” - odezwał się znowu chór.

---

\* Przekład Ewy Skwary

Pełnia księżycy i tajemnicze piękno zamrożonego wodospadu sprawiły, w połączeniu z magią poezji, że zaczęli nagle tańczyć na śniegu.

Knox i Chris odeszli cicho na bok, tuląc się do siebie. Najpierw nieśmiało, potem coraz namiętniej zaczęli się całować pod mroźnym księżycem.

Państwo Perry'owie szybko zapadli w sen. Ciszę domu zakłócił nagle jakiś dźwięk, krótki trzask.

- Co to było? - Pan Perry usiadł półprzytomny na łóżku.

- Co takiego?

- Ten dźwięk. Nie słyszałaś?

- Jaki dźwięk?

Pan Perry wsunął nogi w pantofle i wyszedł na korytarz. Zauważył, że drzwi do sypialni Neila są otwarte, a jego łóżko puste. Zbiegł po schodach na dół. Pani Perry podążyła za nim, usiłując w pośpiechu naciągnąć na siebie starą podomkę.

Pan Perry wszedł do pracowni i zapalił światło. Rozejrzał się dookoła. Wszystko wydawało się w porządku, ale gdy miał już wychodzić, dostrzegł nagle na dywanie połyskujący, czarny przedmiot. Jego własny rewolwer. Czując narastającą panikę, podszedł powoli do biurka i wtedy zobaczył bezwładną, białą dłoń. Stał, nie mogąc złapać tchu.

Za biurkiem w kałuży krwi leżał Neil.

Pan Perry wolniutko ukląkł przy nim i wybuchając nagle strasznym płaczem porwał go w ramiona. Neil nie żył. Matka wybiegła z pokoju, krzycząc rozpaczliwie.

- Nie! - szlochał pan Perry. - Nie! Nie! Nie!

Keating i chłopcy odprowadzili dziewczęta do ich domów i wrócili szybko do Akademii Weltona.

- Jestem wykończony - skarżył się Todd. - Nie czuję nóg. Jutro będę spał do południa.

Było jednak znacznie wcześniej, gdy przy jego łóżku stanęli Charlie, Knox i Meeks. Ich twarze były blade i ściągnięte. Patrzyli na Todda, który oddychał spokojnie, pogrążony w głębokim śnie.

- Todd - powiedział Charlie cichym głosem. - Todd.

Todd z wysiłkiem otworzył oczy i oparł się łokciem na poduszce. Mrugał półprzytomnie. Gdy jego oczy przyzwyczyły się wreszcie do światła, spojrzął na budzik i jęknął żałośnie.

- Dopiero ósma, chłopaki. Dajcie mi spać - powiedział żałośnie, naciągając kołdrę na

głowę.

Chłopcy nadal stali nieruchomo. Todd uzmysłowił sobie nagle, że coś jest nie w porządku. Dlaczego wszyscy trzej stoją tu nad nim o tej porze? Zerwał się z łóżka, patrząc na nich z lekiem.

- Todd, Neil nie żyje - powiedział Charlie. - Zastrzelił się.

Toddowi zawirowało przed oczami.

- O mój Boże! Och, Neil! Neil! - wybuchnął niepohamowanym płaczem.

Wyskoczył z pokoju i krzyżąc biegł przez korytarz do łazienki. Zawisł nad muszlą i zaczął wymiotować. Wstrząsały nim torsje, jakby wrywało mu wszystkie wnętrzności. Jego koledzy czekali bezradnie pod drzwiami.

Po chwili wyszedł, ocierając usta rękawem piżamy. Z zalaną łzami twarzą wyglądał jak małe, bezradne dziecko.

- To nie Neil! - łkał. - To jego ojciec! To nie Neil! Neil kochał życie. On by się nie zabił!

- Nie sądzisz chyba, że jego własny ojciec... - Knox urwał w połowie.

- Nie własnymi rękami! - chlpał Todd. - Nie musiał pociągać za spust, żeby... - znowu zaniósł się płaczem.

Po chwili uspokoił się trochę.

- Nawet jeśli nie pociągnął za spust - mówił przerywanym głosem - to i tak właśnie on go zabił. Wszyscy muszą się o tym dowiedzieć.

Ogarnięty na nowo falą rozpacz, krzyżąc przywarł kurczowo do zimnej ściany.

- Neil! Neil! - znowu się rozplakał.

Chłopcy zostawili go samego, wyszli z łazienki i usiedli na schodach. Dławiło ich w gardłach.

Keating, nie wiedząc jeszcze, że straszna wiadomość dotarła już do uczniów, siedział w pustej klasie przy biurku nauczycielskim. Z trudem nad sobą panował. Wstał ciężko i podszedł do ławki Neila. Wziął do ręki leżącą tam książkę - jego własną, starą i pożółkłą antologię poezji. Otworzył ją i jego wzrok trafił na napisane przez niego dawno temu słowa: „Stowarzyszenie umarłych poetów”. Westchnął i opadł na krzesło Neila. Do oczu napłynęły mu łzy.

Ranek następnego dnia był ponury i zimny. W podmuchach mroźnego wiatru, przy zawodzących żalobnie dudach, szedł kondukt złożony z uczniów i nauczycieli.

Neila pochowano na cmentarzu w Welton. Jego trumnę dźwigali „umarli poeci”. Gale Nolan, Keating, McAllister, inni nauczyciele oraz uczniowie spoglądali poruszeni, jak grabarze opuszczają Neila do grobu.

Po pogrzebie cała szkoła zgromadziła się w kaplicy Weltona na mszy świętej. Keating wraz z pozostałymi pedagogami stał przy bocznej ścianie nawy. Odśpiewano pieśń żałobną, a potem głos zabrał kapłan.

- Boże Wszechmogący, obdarz nas łaską, byśmy mogli powierzyć Twemu wiecznemu miłosierdziu naszego przyjaciela, Neila. Pobłogosław go i przyjmij do swego Królestwa. Niech płynąca z Twego oblicza światłość okryje go i obdarzy wieczną łaską i pokojem. Teraz i na wieki wieków. Amen.

- Amen.

Na podium wstąpił dyrektor szkoły, Gale Nolan.

- Śmierć Neila Perryego jest tragedią. Był bardzo dobrym uczniem. Jednym z najlepszych w naszej szkole. Z pewnością będzie go nam brakowało. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi rodzicami, żeby wyjaśnić sytuację. Naturalnie, są tym bardzo poruszeni. Na życzenie rodziny Neila zamierzam gruntownie zbadać okoliczności tego tragicznego wydarzenia. Z waszej strony oczekuję pełnej współpracy. Dziękuję.

Uroczystość dobiegła końca. Uczniowie powoli opuszczali kaplicę. Charlie, Knox, Todd, Pitts, Meeks i Cameron wyszli na dziedziniec razem, ale później każdy poszedł w swoją stronę.

Po południu wszyscy, z wyjątkiem Meeksa i Camerona, spotkali się w zagraconej starymi meblami komórcie, w piwnicach bursy. Siedzieli nie odzywając się, dopóki ktoś nie zastukał do drzwi. Wszedł Meeks.

- Nie mam pojęcia, gdzie on jest - powiedział, siadając na zakurzonej skrzyni.

- Powiedziałeś mu, że jest spotkanie? - upewniał się Charlie.

- Dwa razy - podkreślił Meeks.

- No tak! Świetnie! - Charlie pokiwał głową.

Podszedł do małego okienka i poprzez ciągnący się na wysokości jego oczu trawnik spojrzął ku oknom dyrektorskiego gabinetu. Odwrócił się i stanął twarzą do kolegów.

- To koniec. Jesteśmy spaleni - powiedział spokojnie.

- O czym ty mówisz? - zapytał Pitts.

- O tym, że ta parszywa gnida, Cameron, siedzi teraz u Nolana i kapuje.

- Ale o czym? - pytał dalej Pitts.

- Jak to, o czym! - zirytował się Charlie - Pomyśl Pittuś. O klubie, o nas!

Chłopcy spoglądali na siebie, wciąż nie bardzo pojmując.

- Dlaczego o nas? - ktoś zapytał.

- Potrzebują kozła ofiarnego - wyjaśniał Charlie. - Myślicie, że pozwolą, by sprawa ucichła? Z powodu takiej rzeczy ministerstwo może zamknąć szkołę.

Siedzieli zrezygnowani, patrząc na siebie pytająco i bezradnie. Usłyszeli, jak otwierają się drzwi na korytarz. Knox wyrzwał ostrożnie i zobaczył Camerona.

- Cameron! - szepnął donośnie w jego kierunku, przywołując go ręką.

Cameron spojrzał na Knoxa, zawahał się przez moment, ale w końcu wszedł do komórki. Wpatrywali się w niego z napięciem, czekając, aż coś powie.

- O co chodzi, chłopaki? - zapytał Cameron niewinnym tonem.

- Sypałeś, Cameron, tak? - Charlie chwycił go za koszulę.

- Odpieprz się, palancie! - Cameron się wyrwał. - Nie wiem nawet, o czym mówisz.

- Przed chwilą nagadałeś Nolanowi o „Stowarzyszeniu”. O tym mówię! - krzyknął Charlie.

- Coś ci powiem, Dalton. Może już o tym zapomniałeś, ale w tej szkole obowiązuje niepisane prawo. Jeśli nauczyciel cię o coś pyta, to mówisz mu prawdę, bo inaczej skreślają cię z listy.

- Ty...! - Charlie rzucił się z wściekłością na Camerona.

Meeks i Knox z trudem odciągnęli go na bok.

- Charlie... - zaczął Knox.

- To szczur! - przerwał mu Charlie. - Sam siedzi w błocie po uszy, więc poszedł ratować własny tyłek! Szczur! - krzyczał.

- Nie ruszaj go, Charlie - ostrzegwał Knox. - Jeśli go uderzysz, wylecisz ze szkoły.

- Nie zależy mi. I tak już na pewno wyleciałem - Charlie wyrwał się przytrzymującym go kolegom.

- Masz absolutną rację - powiedział Cameron. - Gdybyście mieli trochę oleju w głowie, zrobilibyście to samo co ja i pomogli im. Nie na nas im zależy. My jesteśmy tylko ofiarami. My i Neil...

- Co to znaczy? - zapytał Charlie. - A więc do kogo mają zamiar się dobrać?

- Jak to do kogo? Oczywiście, że do Keatinga. Do Kapitana, we własnej osobie. Nie pomyśleliście chyba, że Keating mógłby uniknąć odpowiedzialności?

- Pan Keating? Odpowiedzialny za śmierć Neila? Naprawdę tak twierdzą? - pytał z niedowierzaniem Charlie.

- A któż inny, baranie? - powiedział Cameron.

- Dyrekcja szkoły? Pan Perry? Nie kto inny, tylko Keating nas do tego namówił! Gdyby nie on, Neil siedziałby teraz na górze w swoim ciepłym pokoju i uczył się chemii, marząc, by zdawać do Harvardu i zostać sławnym lekarzem!

- To nieprawda! - krzyknął rozjuszony Todd. - Pan Keating nigdy do niczego Neila nie namawiał! Dobrze o tym wiesz. Neil kochał teatr!

- To nie ma teraz znaczenia! - Cameron wzruszył ramionami. - Keatinga trzeba rzucić na pożarcie. Po co mamy marnować sobie życie?

Charlie nie wytrzymał, rzucił się znowu na Camerona i wyrznął go pięścią w szczękę. Cameron zatoczył się i upadł na stos pustych kartonów. Charlie skoczył na niego i przygwoździł swoim ciężarem do ziemi.

- Charlie! - jęknął Knox, próbując odciągnąć kolegę.

Charlie uspokoił się. Cameron potarł obolałą szczękę i skrzywił usta.

- Właśnie podpisałeś swoją relegację, Nuwanda - zaśmiał się nienawistnie.

Otarł rękawem ciekącą z nosa krew. Charlie wstał, odwrócił się i wyszedł. Pozostali poszli jego śladem.

Cameron został sam. Leżał na podłodze i krzyczał za nimi:

- Nie bądźcie głupi! Zróbcie to, co ja! Oni już i tak wszystko wiedzą. Keatingowi nic już nie pomoże. Ale wy zdołacie ocalić siebie!

## ROZDZIAŁ XV

Łóżko Neila było puste, zaścielone starannie. Również na jego biurku było pusto i czysto. Todd siedział na parapecie okna i spoglądał na odległy budynek, w którym mieściła się administracja szkoły i gabinet dyrektora. Widział, jak pan Hager wyprowadza z budynku Meeksa i idzie z nim w stronę bursy.

Zeskoczył z parapetu, podszedł do drzwi i otworzył je ostrożnie. Po chwili u wylotu korytarza pokazali się dr Hager i Meeks. Nauczyciel zatrzymał się przy wejściu i zaczął, aż Meeks przejdzie do swego pokoju.

Chłopiec przeszedł obok Todda, nie patrząc na niego. Todd dostrzegł jego załzawione, czerwone oczy. Meeks wszedł do pokoju i trzasnął za sobą drzwiami.

- Knox Overstreet! - zawołał nauczyciel.

Todd odczekał krótką chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę korytarza, pod pokój Meeksa. Zapukał cicho.

- Meeks? To ja, Todd - powiedział.

- Daj mi spokój - Meeks nie wpuszczał go do środka. - Muszę się uczyć.

Todd zamilkł, uświadomiwszy sobie, co mogło zająć w dyrektorskim gabinecie.

- Co z Nuwandą? - spytał przez zamknięte drzwi.

- Wyrzucony - odparł sucho Meeks. Todd przymknął oczy.

- Co im powiedziałaś? - zapytał po chwili.

- Nic więcej ponad to, co już wiedzieli - usłyszał gorzką odpowiedź.

Todd wrócił do siebie, usiadł znowu na parapecie i wbił wzrok w szkolny dziedziniec. Po jakimś czasie z budynku naprzeciwko wyszli dr Hager i Knox Overstreet. Todd poczuł, jak zaczynają mu pulsować skronie. Zeskoczył na podłogę, podszedł do drzwi, uchylił je nieznacznie i czekał. Po chwili Overstreet i Hager weszli na korytarz. Kiedy Knox przechodził obok, wyglądał jakby był na granicy załamania nerwowego. Drgały mu policzki, a jego czoło było zroszone potem. Todd zamknął cicho drzwi i oparł się o nie plecami. Był wstrząśnięty tym, że udało im się złamać Knoxa. Nagle usłyszał własne nazwisko.

- Todd Anderson!

Hager czekał na końcu długiego korytarza. Todd nabrał powietrza w płuca i modliwie wzniósł oczy ku górze. Otworzył drzwi i wolnym krokiem ruszył w kierunku nauczyciela.

Kiedy wspinali się po schodach do gabinetu dyrektora, Todd pomyślał, że właśnie tak



musi się czuć skazaniec idący na szafot.

Nolan siedział za swoim biurkiem. Z boku po przeciwnej stronie biurka, ku wielkiemu zdumieniu Todda, siedzieli jego rodzice.

- Mamo, tato - wyjąkał na przywitanie.

- Proszę usiąść, Anderson - nakazał dyrektor. Todd zajął puste krzesło, które stało idealnie naprzeciw Nolana. Rodzice patrzyli na niego srogo i nieubłaganie. Poczł jak spod pachy spływa mu kropla potu. Jedna, potem druga.

- Anderson - odezwał się Nolan. - Udało nam się dość dokładnie ustalić fakty, jakie miały ostatnio miejsce w naszej szkole. Czy i ty przyznajesz, że brałeś udział w spotkaniach tego całego „Stowarzyszenia umarłych poetów”?

Todd spojrział na rodziców, a potem na Nolana. Zamknął oczy. Zanim zdołał skinąć głową, usłyszał gniewny głos ojca.

- Odpowiedz dyrektorowi!

- Tak - odpowiedział słabo Todd.

- Nie dosłyszałem, Todd - dyrektor uniósł się w fotelu.

- Tak - powtórzył Todd niewiele głośniej.

Nolan spojrział znacząco w kierunku rodziców, a potem na Todda. Wyciągnął w jego stronę kartkę maszynopisu.

- Mam tu dokładny opis tego, co działo się na waszych spotkaniach. Jest tu mowa o tym, jak wasz nauczyciel języka angielskiego, pan John Keating, zachęcał was do organizowania klubu, jak nim kierował i wykorzystywał go jako inspirację do lekkomyślnych zachowań. Napisano tu również o tym, jak pan Keating, zarówno w klasie jak i poza nią, nakłaniał Neila Perry ego, by nie rezygnował ze swej teatralnej obsesji, choć był świadom, że rodzice ucznia nie są zainteresowani taką aktywnością chłopca i odmawiają mu pozwolenia na udział w przedstawieniu. Zapewne nie wiesz, że właśnie to rażące naruszenie przez pana Keatinga swoich pedagogicznych kompetencji w konsekwencji doprowadziło do śmierci Neila Perry ego.

Nolan wręczył Toddowi maszynopis.

- Przeczytaj uważnie - polecił. - Jeśli nie masz nic do uzupełnienia, podpisz.

Todd wziął do ręki tekst i czytał go długo i uważnie. Kiedy dotarł do ostatniej linijki, spostrzegł, że kartka w jego rękach drży. Podniósł wzrok.

- Co... co się stanie... z... panem Keatingiem? - zapytał.

- A co ci do tego? - wtrącił się zdenerwowany ojciec.

- Nic się nie stało, panie Anderson - uspokoił go Nolan. - Chłopiec ma prawo

wiedzieć. Nie wiemy jeszcze na pewno, czy pan Keating naruszył prawo - zwrócił się do Todda. - Jeśli naruszył, stanie przed sądem. My możemy jedynie dołożyć wszelkich starań, by Keating już nigdy więcej nie mógł pracować z młodzieżą w szkole. Twój podpis i podpisy twoich kolegów bardzo nam w tym pomogą.

- Żeby... nigdy nie... uczył...? - wyjąkał Todd.

Ojciec Todda zerwał się z miejsca.

- Dość już tego, Todd! Podpisz ten dokument!

- Todd, kochanie, proszę cię - nalegała matka. - Zrób to dla nas...

- Ale... dla pana Keatinga uczenie jest wszystkim... on kocha szkołę - mówił oszłomiony Todd.

- A co to ciebie obchodzi?! - wściekle krzyczał ojciec.

- A czy ja obchodzę ciebie?! - krzyknął nagle Todd. - On się o mnie troszczył! Ty nie!

Ojciec stał nad Toddem purpurowy, nie będąc w stanie wydobyć z siebie słowa. Porwał długopis i podsunął go synowi pod nos.

- Podpisz! - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Todd pokręcił głową.

- Nie. Nie podpiszę.

Zapadła cisza.

- Todd - powiedziała w końcu matka przerażonym głosem.

- To wszystko nie jest prawdą! - wybuchnął Todd. - Nie podpiszę się pod kłamstwem!

Zsiniały na twarzy ojciec usiłował wcisnąć Toddowi długopis do ręki. Nolan podniósł się z fotela.

- Trudno. Niech więc chłopak odczuje konsekwencje - powiedział z groźbą w głosie i obchodząc biurko zbliżył się do Todda. - Myślisz, że uda ci się uratować Keatinga? - zapytał. Sam widzisz, że mamy podpisy wszystkich pozostałych. To wystarczy. Jeżeli nie podpiszesz, spędzisz resztę roku szkolnego w zastrzonym reżimie. Każdego popołudnia i w każdy weekend będziesz miał do odpracowania specjalne zadania. Jeżeli choć raz oddalisz się poza teren kampusu, zostaniesz relegowany.

Państwo Andersonowie w napięciu patrzyli na syna. Nolan czekał, w nadziei, że chłopak zmieni zdanie. Todd siedział bez ruchu.

- Nie podpiszę - powiedział cicho, ale stanowczo.

- W takim razie zgłoś się do mnie dzisiaj po lekcjach - rzucił zimno Nolan, odwracając się do niego plecami. - Możesz odejść.

Todd wstał i wyszedł z gabinetu pewnym krokiem. Nolan spojrzał na rodziców.

- Przykro mi, panie Nolan - przepraszał pan Anderson. - Niewiele mogę tu zrobić, choć wydaje mi się, że to nasza wina. Nie powinniśmy byli wysyłać go do tej szkoły - dodał, patrząc na podłogę.

- Nonsens - uciał Nolan. - Chłopcy w jego wieku kierują się emocjami. Todd dojrzeje w naszej Akademii, zobaczy pan.

Następnego dnia lekcję łaciny pan McAllister poprowadził na ośnieżonym dziedzińcu. Chłopcy maszerowali i głośno powtarzali koniugację czasowników. McAllister przechadzał się obok, zamyślony. Naraz zatrzymał się i wiedziony dziwnym przeczuciem spojrzął w okno na pierwszym piętrze. Stał w nim Keating. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. McAllister jakby chciał wykonać jakiś przyjacielski gest, ale w końcu zrezygnował, odwrócił głowę, głęboko westchnął i podążył za uczniami.

Keating odsunął się od okna. Poczul cień sympatii do „szkockiego” łacinnika. Podeszedł do półki i zdjął z niej tomiki swoich ulubionych poetów - Byrona, Whitmana, Wordswortha... Przyjrzał im się ze smutnym uśmiechem, westchnął i odłożył z powrotem na półkę. Zamknął walizkę. Ruszył do wyjścia. Po raz ostatni ogarnął wzrokiem swój skromny pokój i wyszedł na korytarz.

Podczas gdy Keating pakował swoje rzeczy, jego byli uczniowie czekali w klasie na nowego nauczyciela angielskiego. Todd siedział drętwy ze wzrokiem wbitym w pulpit, zupełnie tak samo jak pierwszego dnia, na pierwszej lekcji w Akademii Weltona. Knox, Pitts i Meeks skulili się na swoich krzesłach. Czuli się podle. Żaden z kandydatów „Stowarzyszenia umarłych poetów” nie mógł spojrzeć w oczy innemu. Z wyjątkiem Camerona, który czytał spokojnie podręcznik.

Ławki Neila i Charliego świeciły bolesną pustką.

Otworzyły się drzwi i do sali wkroczył dyrektor Gale Nolan. Wszyscy wstała z miejsc i usiedli dopiero gdy Nolan ciężko opadł na krzesło.

- Do końca semestru będę z wami miał angielski - obwieścił sucho. - Po feriach powinniście już mieć stałego nauczyciela. Kto mi powie, na którym rozdziale pan Keating zakończył przerabianie podręcznika Pritcharda?

Nolan powiódł okiem po klasie, ale nikt nie zgłaszał się do odpowiedzi.

- Anderson?

- Podręcznik... Pritcharda... - bąkał Todd ledwie słyszalnym głosem. Nerwowo szukał podręcznika wśród swoich książek.

- Nic nie słyszę, Anderson - powiedział zaintrygowany Nolan.

- Wydaje... mi się... że... - jękał się dalej Todd.

- Panie Cameron - Nolan zaczął się niecierpliwić.

- Proszę mi uprzejmie powiedzieć, w którym miejscu podręcznika skończyliście?

- Wiele opuściliśmy, proszę pana - wyrwał się usłużnie Cameron. - Mamy za sobą tylko romantyków i parę rozdziałów o poezji okresu po wojnie secesyjnej.

- A realiści?

- O ile dobrze pamiętam... - zastanowił się Cameron - także i ten okres opuściliśmy.

Nolan spojrział na niego zdumiony. Przeniósł wzrok na resztę klasy i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Cóż, zatem... zaczniemy od początku. Proszę, kto powie mi, czym jest poezja?

Znowu nie było chętnych do odpowiedzi.

Raptem rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy odwrócili głowy. Do sali zajrzał pan Keating.

- Chciałbym zabrać swoje rzeczy - powiedział do Nolana. - Czy może woli pan, żebym przyszedł po lekcji?

- Skoro już pan tu jest, to proszę je zabrać teraz - powiedział rozdrażnionym głosem dyrektor i wrócił do tekstu Pritcharda. - Otwórzcie podręczniki na dwudziestej pierwszej stronie wstępu. Cameron, proszę przeczytać znakomity esej doktora Pritcharda o tym, jak rozumieć poezję.

- Ta strona została wyrwana, proszę pana - poinformował spokojnie Cameron.

- To pożycz książkę od kolegi - Nolan nie rozumiał.

- O ile mi dobrze wiadomo, proszę pana, jego podręcznik również nie posiada tej strony. Wyrwana została ze wszystkich podręczników.

Nolan spod przymrużonych powiek spojrział przeciągle na Keatinga, kontynuując dochodzenie.

- Co to znaczy: „została wyrwana ze wszystkich podręczników”, Cameron?

- Bo... proszę pana... - zaczął Cameron.

- Dość już - przerwał mu wzburzony Nolan i podał mu własną książkę. - Czytaj!

- „Zrozumieć poezję. Napisał J. Evans Pritchard, doktor filologii - przeczytał Cameron. - Aby w pełni zrozumieć poezję i trafnie ocenić jej wartość, musimy osiąść najpierw umiejętność rozpoznawania stopy wiersza, rymów i tropów, a następnie postawić przed sobą dwa zasadnicze pytania. Pierwsze: z jakim arcyzmem przedstawiono w wierszu podjęty temat? I drugie: jaką wagę znaczeniową ten temat posiada?...”

Kiedy Cameron czytał, Keating pakując do torby książki, zza uchylonych drzwi zaplecza klasy zerkał na siedzących sztywno uczniów. W oczach Todda dostrzegł łzy. Pitts,

Meeks i Overstreet siedzieli ze wzrokiem wbitym w pulpit, wstydząc się spojrzeć w oczy swojemu niedawnemu nauczycielowi. Na ich pełnych napięcia twarzach widać odcisnął się ślad pierwszej młodzieńczej porażki. Keating westchnął ciężko. Jaką ironią losu było to, że Nolan kazał im właśnie teraz czytać esej Pritcharda. Słowa o wertykalnej i horyzontalnej osi boleśnie wbijały mu się w głowę. Zamknął torbę i przemknął pod ścianą w kierunku drzwi. Kiedy sięgał ręką do klamki, zapłakany Todd zerwał się z krzesła.

- Panie Keating! - krzyknął, przerywając Cameronowi czytanie. - Oni nas zmusili do tych podpisów!

- Anderson! - Nolan zerwał się jak oparzony. - Natychmiast siadaj!

- Naprawdę, panie Keating! - krzyczał Todd. - Proszę mi wierzyć. Pan musi mi uwierzyć! Pan musi!

- Wierzę ci, Todd - powiedział łagodnie Keating.

Nolan kipiał z wściekłości.

- Proszę w tej chwili wyjść z sali, Keating! - wrzasnął, czerwony ze złości.

- Ale to nie była wina pana Keatinga, panie Nolan! - nie poddawał się Todd.

Dyrektor doskoczył do niego i pchnął go z powrotem na krzesło.

- Mówiłem ci, siadaj, Anderson! - krzyczał. - Jeśli powiesz jeszcze choć jedno słowo...

- Odwrócił się do klasy. - Albo ktokolwiek z was, ten będzie usunięty ze szkoły!

Nolan spojrział z furią na Keatinga, który odruchowo ruszył ku Toddowi, jakby chcąc mu pomóc.

- Prosiłem, żeby pan wyszedł, Keating! - zagrzemiał. - Natychmiast!

Chłopcy patrzyli na Keatinga przerażonym wzrokiem. Nauczyciel po raz ostatni objął ich wszystkich długim spojrzeniem. Potem odwrócił się i podszedł do drzwi.

- O, kapitanie mój, kapitanie! - zawołał nagle Todd. Keating zatrzymał się i spojrział na Todda. Patrzyli na niego również inni chłopcy. Todd postawił nogę na krześle i powoli wszedł na ławkę. Stał na niej dumny i wyprostowany, górując nad całą klasą. Walcząc z napływającymi do oczu łzami śmiało spojrział Keatingowi w twarz.

- Zejdź na dół! Natychmiast siadaj! - krzyczał Nolan, zmierzając w kierunku Todda.

Zanim do niego doszedł, podobny okrzyk rozległ się w drugim końcu sali.

- O, kapitanie mój, kapitanie! - na ławkę wszedł Knox.

Nolan miotał się wściekle, nie wiedząc, którego z chłopców pierwszego ściągnąć na dół. Ale już Meeks, zebrawszy w sobie całą chłopięcą odwagę, stał na ławce. W jego ślady poszedł zaraz Pitts. Jeden po drugim, a potem po kilku na raz, chłopcy zaczęli uroczyście wstępować na swoje ławki, w ostatnim, uczniowskim hołdzie, składanym ukochanemu

nauczycielowi.

Nolan stał bezradnie wśród górujących nad nim, wyprostowanych dumnie chłopców. Zrezygnował z prób zapanowania nad sytuacją. Nieruchomym wzrokiem mierzył Keatinga.

Keating stał przy drzwiach, blady ze wzruszenia.

- Dziękuję... wam, chłopcy - powiedział cicho. - Ja... bardzo wam dziękuję.

Popatrzył na Todda, potem na pozostałych „umarłych poetów”. Skinął im głową, jakby chciał powiedzieć „żegnajcie”. Potem odwrócił się i powoli wyszedł, zostawiając za sobą niczym nie zmaconą, uroczystą ciszę.

## SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	2
ROZDZIAŁ II	7
ROZDZIAŁ III	11
ROZDZIAŁ IV	14
ROZDZIAŁ V	19
ROZDZIAŁ VI	29
ROZDZIAŁ VII	34
ROZDZIAŁ VIII	45
ROZDZIAŁ IX	55
ROZDZIAŁ X	66
ROZDZIAŁ XI	78
ROZDZIAŁ XII	88
ROZDZIAŁ XIII	96
ROZDZIAŁ XIV	100
ROZDZIAŁ XV	106